

~~2425a~~

15631

Pamiętnik.

2125

15631



Franciszek Kostrzewski.

3858

~~2125~~

F. KOSTRZEWSKI.

15631

Pamiętnik

z 35 ilustracyami.



WARSZAWA.

NAKLAD I DRUK S. LEWENTALA

Nowy-Swiat Nr. 41.

79505
s.r.



253084

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, 21 Января 1891 года

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



F UW0104272

W-122/2009



W Sandomierskiem był las na
wzgórzu dość wysokiem. Krzaki
leszczyny gdzieniegdzie jałowcem
lub grymaśnie powykrzywianą
brzezina przegradzane, otaczało
kilku wiejskich chłopców, między
którymi kilkunastoletni młodzian-
szek w studenckiej na bakier czap-

ce, nie zrywał jak inni orzechów, lecz pogwizdywał, naśladując wilgi, zięby lub szczygły; nie robił tego bezinteresownie, uczył się bowiem zwabiać ptaszki, łapiąc je na lep. W tym celu w gęstwinie na wierzchołku jakiej sporój choinki, przywiązywał rosochatą suchą gałązkę, której poprzeczne pręciki nasmarowane gęstym lepem, były zgubą dla siadających ptaszek. Nóżki tych biedaków, raz postawione na owych gałązkach, nie dały się już odczepić — i nie było dnia, żeby kilku złowionych w ten sposób śpiewaków, nie przybywało do klatek, których pełno było w dość dziwnie wyglądającym pokoju studencika.

Pokój ten, dosyć obszerny, miał ściany pogryzmołone węglem,

i przedstawiał zbiór przeważnie wiejskich fizyognomii. Nad łóżkiem wisiała gitara, na stole pełno papierów zaszkicowanych.

Właśnie tylko-co ze złapaną ziębą i czyżykiem, w chustce od nosa uwięzionemi, powrócił do domu gwizdzący chłopiec.

Za chwilę z drugiego pokoju wszedł z poczciwą, ale zakłopotaną twarzą, szpakowaty jegomość, i zażywszy porządny niuch tabaki, tak zaczął:

— Mój Franku, ja się martwię, co z tobą dalej robić, a ty jakby nic. Albo rysujesz, albo gwizdziesz, albo włóczysz się po lesie... Co z ciebie będzie?!

— Mój kochany ojczy, co ze mnie będzie, sam nie wiem, ale do

szóstéj klasy na drugi rok nie pójdę za nic na świecie!

— Zacząłeś za mojem staraniem w kancelaryi fabrycznej aplikacją, nawet z początku chwalił cię dyrektor, że ładnie piszesz, i cóż?... lichy nadało, że na marginesie jakiegoś raportu wyrysowałeś ogromny zadarty nos.

Dyrektor poznał, że to jego nos — i wypędzili cię sromotnie. Co ja nieszczęśliwy z tobą zrobię!!

Franek poskoczył do ojca, pocałował go w rękę i rzekł:

— Ja muszę być malarzem!
(Tym Frankiem, byłem ja).



W 1844 r. otworzono w Warszawie Szkołę Sztuk Pięknych. Dyrektorem był Frankowski, później Sztender; profesorami: Kokular, Kaniewski, Hadziewicz, Breslauer, Zalewski, Piwarski — ten ostatni najwięcej kochany przez uczniów, największy też wpływ na nich wywierał. Jego typy i pejzaże czyści polskie najmocniej przemawiały do ówczesnej młodzieży.

Do tej-to szkoły na bryce krakowskiej, płótnem na obręczach



krytój, szosą radomską przyjechałem do Warszawy, ze skromnym zasobem pieniężnym i tobołkami, napchanymi wiejskimi specjalami.

Gdym w ławce szkolnej zasiadł, nikogo nie znając, dziwnego doznałem uczucia. Żal mi się zrobiło lasu, ptaszków i gitary. Po wstępnej lekcji, schodząc ze schodów, dla poprawienia humoru, zacząłem sobie po cichu gwizdać sandomierskie piosenki.

— Jak ty ładnie gwizdziesz! — odezwał się kolega Edward Petzold. — A gdzie ty mieszkasz?

— Właściwie, to ja nigdzie jeszcze nie mieszkam. Zostawiłem w hotelu na Grzybowie kuferek i nie wiem, co dalej robić.

— Wiész co... mieszkaj u mnie; tanio ci wypadnie i będzie nam wesoło. Ja mieszkam z matką niedaleko, na Ogrodowej (a wychodziliśmy właśnie z Koszar Kazimierowskich na Krakowski-Przedmieściu). Chcesz, to chodź zaraz.

— A dobrze. — I poszliśmy.

I zaczęła się artystyczna edukacja. Trzeba przyznać, że, pogłaskany przez Kokulara i Piwarskiego, zaraz na wstępie z zapalem wzięłem się do pracy. Więc rysowałem od 8-ój do 2-ój, z początku z wzorów Julienu, później z gipsów, nareszcie z żywych modeli. Artystyczne jednak życie ma mimo swego uroku, wiele cierni.

Po dwóch latach, środki materialne okazały się za szczupłe. Fundusik, regularnie co miesiąc

przez Rodziców przysyłany, regularnie do połowy miesiąca wystarczał. Koleżków grono wesołe, składało się z różnych gatunków. Tu muszę wymienić najwięcej obiecujących młodych ludzi z talentami. Byli to:

Gierdziejewski, człowiek ogromnej fantazyi i łatwości w kierunku kompozycyjnym. Wielką ilość natworzył szkiców, zdumiewających pomysłów pełno — lecz niespokojnego temperamentu. Lubił gawędę, niestety, przy kuflu. Imponował nam nieco młodszym wiekiem, wiedzą artystyczną i wielkim ferworem.

Henryk Pillati, wielkiego talentu człowiek, z poczuciem kolorytu nadzwyczajném, tak rzadką zaletą u polskich malarzy. Zmarnowaw-

szy zdrowie, zamilkł niedługo z twórczością, tyle obiecującą.

Słoninkiewicz, zadziwiający miał talent, malował z taką niesłychaną wprawą i pięknnością barw, że znawcy prawdziwi zdumiewali się nad jego studyami. Umarł młodo, nie skończywszy nawet Szkoły Sztuk Pięknych.

Było kilku bardzo uzdolnionych, którzy niewiadomo gdzie się podzieli.

Biegłym rysownikiem był także Bogdański.

Z całej tej liczby utrzymali się zaledwie:

1-szy Gerson, zawsze sumienny i pracowity malarz; historycznym się stał, usilnie o to dbając i pracując. Szkoda, że porzucił malowanie pejzaży, które prześliznie

zaczął był malować. Tyle sentymentu, prawdy i całości miłej dla oka bywało w tych dawnych jego pejzażkach i studyach!

2-gi Józef Brodowski, malarz koni i krów; doszedł do pewnej doskonałości i wziętości — i tylu innych, których trudno dziś odzyskać.

Przed otworzeniem Szkoły Sztuk Pięknych była Szkoła malarstwa u Kokulara, z której biegły i wytrawny malarz Murzynowski odznaczał się jako bardzo zdolny portrecista i malarz obrazów kościelnych. Mielnicki, Gumiński, Polkowski stanowili generacją starszą, poprzedzającą naszą grupę malarzy z czasów Piwarskiego.

Dziwna rzecz, że w tak trudnych warunkach dla sztuki u nas, gdzie

ani zamożność, ani znawstwo sprzyjać nie mogły téj gałęzi przemysłu, tak silnie i tak obficie rozrosło się dziś zamiłowanie do uprawiania téj sztuki!

Ale zostawmy to innym, a mówmy o sobie.

Otóż, dobiegając lat dwudziestu, zacząłem rozglądać się po świecie, i, kołując bliźnich na ślepo, poznawałem coraz więcej ludzi; i dzięki wrodzonemu dobremu humorowi, który szeroko mimo wszystko inne rekomenduję kolegom i wielu innym, wiodło mi się jako-tako.

Filozofią życia zachowałem aż do starości, i dzięki téj zasadzie, przebrnąłem przez wyboje karyery artystycznej obronną ręką!

Byłem już na trzecim kursie, gdy pewnego dnia do sali rysunkowej wszedł ówczesny inspektor naszej szkoły, francuz Sestié, lubiący mnie bardzo, choć kilka razy sadzał mnie do kozy za niektóre wybryki zbyt humorystyczne.

— „Koczeski!“ proszę tam do kancelaryi, dwa panowie mają interes, proszę!

Rzuciwszy rejsbret z zacętym golasem (trochę mnie nudziły modele na seryo traktowane), udałem się do kancelaryi, gdzie zastałem dwóch młodych ludzi (byli to Marcin Olszyński i Witold Horodyński).

— Co panowie każą?

— Chcielibyśmy brać od pana lekcye rysunków, dwa razy na ty-

dzień. Kiedy pan będzie miał czas i ile pan bierze?

(Bierze? brać będę, co za rozkosz!).

— Ja, moi panowie, i owszem; ja z chęcią, kiedy tylko panowie każą, a co do ceny, to jak panowie myślą.

Podobały się widocznie te moje twarde warunki, bo z uśmiechem umówiliśmy się na nadchodzący Wtorek o godzinie 2-ój po obiedzie, chciałem powiedzieć: po południu.

Jakoż, doczekawszy Wtorku, w świeżym kołnierzyku (mankiety były głęboko schowane), udałem się na Marszałkowską ulicę, według adresu.

I zaczęły się lekcye.

Miałem lat 20, oni po 18; chcia-

lem udawać powagę, ale mi się nie wiodło. Zato po kwadransie byliśmy ze sobą na „ty a ty“ i w okrutnej przyjaźni. Na trzecią lekcję już byłem zaproszony na obiad, cały obiad u radcostwa Horodyńskich—mówię „cały“ wyraźnie, bo mój bywał dziwnie krótki, najczęściej u Kocha (rzeźnik na Senatorskiej), składający się z kieliszeczka słodkiej, dużego glona chleba, lokciowej kielbasy z kapustą i już.

Kilka razy jednakże obiadek ten mój własny redukowałem się do czterech bułek dorożkarskich i dwóch serdelków, a były to bułki i serdelki, akurat cztery razy większe jak dzisiaj, boć przecie na proporcjach się znam.

Nie wiem jak tam inni młodzi lu-

dzie, ale ja bezgranicznie byłem kochliwy. Na Krochmalnej ulicy, przez którą przechodziłem dość często, w dużym i porządnym domu, należącym ówczas do Szefera, gdzie był sławny browar, w oknie na dole spostrzegłem dziwnie piękną bruneteczkę z paląciami czarnemi oczyma. To było dosyć—gdzie tam dosyć? to było zanadto. Przystanąłem naprzeciwko tego okna i stałem długo, bardzo długo, aż doczekałem się za dobrą godzinę jeszcze raz tej twarzyczki. Powracałem kilka razy pod to okno.

Zakochałem się do szaleństwa.

Bruneteczka, naturalnie, zauważyła mnie w pozie Romea i zaczęła ją to bawić. Kupowałem bukieciki — tak jest, kupowałem bu-

kieciki, zszedłszy z dwóch na jednego serdelka, i przez umyślnie czy przypadkiem otwarty zawsze lufcik, codziennie wrzucałem gałązkę bzu, lub hyjacentów kilka.

Ten platoniczny romans jednakże zauważył prawdopodobnie rywal jakiś z pierwszego piętra, i jednego dnia na rozgorzałą głowę moją lunął z miednicy mydlaną wodą! Na drugi dzień przyszedłem na stanowisko z pożyczonym parasolem.

Obelgę jednakże moją opowiedziałem kolegom, a ci oburzeni, złożwszy się na kilkanaście groszy, najęli trzech razem kataryniarzy — i wyprawili kocią muzykę srogiemu rywalowi. Tu zaszła brzydka awantura. Kilku nas asystowało koncertowi kataryniarzy,



a boczną bramą z browaru wyszło z drągami kilku parobków. Po zamianie z nimi paru niezbyt wykwintnych komplementów, nastąpiło starcie, zakończone oberwaniem rękawów i pół od surduta i protokółem w cyrkule. Skompro-



mitowani mocno, odsiedziawszy w kozie, przyrzekliśmy uroczyście, unikać raz na zawsze awantur ulicznych, i dotrzyaliśmy danego słowa. W starciu wyżej przytoczoném, najgorzej wyszedł Surzyński, wielkich zdolności młodzian z wydziału architektury, ale żyjący w przyjaźni serdecznej z malarzami. Temu biedakowi podarli całkiem paltocik, który ja zwykle nosilem, a owego dnia pożyczylem go jemu. Biedny mój migdałowy paltocik, a jeszcze biedniejszy był Surzyński, który czuł dni kilka skutki gimnastycznych zapasów z browarnemi ludźmi!

Przyszędł karnawał.

Karnawały dawniejsze zupełnie inaczej wyglądały jak dzisiejsze.

Tygodniowe zebrania, na któ-

rych, przy skromnej zakasce, bawiono się tak, jak dziś o tém wyobrażenia nikt nie ma!

Jako zapalony tancerz, miałem już kilka domów, gdzie łaskawie i gościnnie mnie witano. Posiadając talent muzyczny zupełnie wystarczający do tańca, grywałem na fortepianie polki, mazury i walce, gwizdząc przy tém, dzięki czemu byłem upragniony na każdym zebraniu taneczném.

Lekcyi rysunków trochę przybywało; od czasu do czasu jakiś obrazeczek po znajomości się zbyło.

To wyrażenie „po znajomości“ widocznie ma swoją rację bytu, boć do tego czasu zwykle, jeśli się co sprzeda, to najczęściej *po znajomości*; to znaczy, bardzo tanio, ale w sekrecie.

Życie artysty ma tę wielką zaletę, że obfituje w bajeczną swobodę czasu. Niezależność moralna, ma się rozumieć, jest rzeczą nieocze-
nioną. Malarz nawet nie potrze-
buje zegarka, i dlatego jeżeli go
zład dostanie, to nieprzywiązuje
się do niego na całe życie. Wiele
to ja już miałem zegarków, Boże
drogi! Wszak idąc ulicą co kilka
domów jest zegarmistrz, a u tegoż
można się dowiedzieć o godzinie—
a na lekcję z obiadem, to i tak
człowiek się nie spóźni!

Albo przewodniczka? Głup-
stwo! Mówi się kolegom, słuchaj-
cie chłopcy, jutro się przeprowa-
dzam! i przychodzi ich ze szczę-
ciem, dwóch niesie kuferek, jeden samo-
war i lampę, drugi kilka blejtra-
mów i parę tek, inni pudełko z far-



bami, właściciel pod paltotem kryje bieliznę i kosztowności. Składa się to wszystko na kupę, stróż domu zrobi jutro porządek, a my dziś chodźmy na róg oblać nowe mieszkanie.

Gdy dziś patrzę w bogatym salonie na milionera, który opływa we wszelkie nowowymyślne konieczne potrzeby, to jest piętnaście pokoi na pierwszym piętrze, z kantorem na dole, na górze dla dzieci i guwernantek, z wyasfaltowanem podwórziem, stajnią i wozownią; z wybrylantowaną żoną i ogniotrwałą kassą, i gdy widzę jak chodzi z założonemi w tył rękoma, ze spuszczoną głową, i bladą zamyśloną twarzą, to myślę sobie, po co on to wszystko ma i co mu z tego przyjdzie? Napoi i nakarmi



chmarę wyfraczonych i dekolto- wanych osobników, którzy obmówią go, że żyje nad stan, a żonę: że źle się prowadzi, a córki: że pa- skudne żydówki, i objedzeni i pod- nudzeni rozjadą się do domów; po- co to wszystko i na co?

Albo jeśli się artysta znajdzie (artystów lepszego gatunku wszędzie dziś wpuszczają) u wielkiego pana z panów, to pokaże mu parę zczerniałych przodków, z herbami obok wygolonej głowy, i opowie, jak któremu było na imię i kto go rodził, a potem zapyta: „No, a co pan tam teraz maluje!“ „Kilka rzeczy mam w robocie, może kiedy pan hrabia zechce obejrzyć“.

„O, i owszem“.

Niewierz, kolego, temu; nigdy w życiu nie przyjdzie. Najgrzeczniejszy z nich wyśle lokaja i każe mu pocichu swój bilet wizytowy zatknąć w szparę u drzwi, co cię raz na zawsze upoważnia do bywania w jego łaskawym domu.

Żyć jednak z procederu malarzkiego, komu tak opatrność kaza-

ła, trzeba, i jako doświadczony z ręką na sercu powiem, że można, ale trzeba przedewszystkiém *być zabawnym*, to jest tworzyć rzeczy małe, wesołe, tanie i na czasie. Dzięki takiemu tylko postępowaniu, można z dnia na dzień jakoś przeżyć, ale trzeba od czasu do czasu, na imieniny palnąć darmo temu lub owemu jakieś powinszowanie ilustrowane, dziwnie uprzejme a delikatne. Karykatura winna być przyjemną, to jest o ile można ładniejszą, a podobną, i jak najgrzeczniejszą. Broń Boże ośmieścić, tylko basować co wlezie!

Alę wracajmy do wypadków.

Dnia pewnego, a byłem już na ukończeniu Szkoły Sztuk Pięknych, (z której otrzymałem patent leżący u mnie w szufladzie od chwili

jakiem go do domu przyniósł) otrzymałem list z Kielc od naczelnika powiatu, Zielińskiego, który zapraszał mnie na wakacje.

Na uprzejmy list odpowiedziałem uprzejmie, że jeżeli będę mógł to przyjadę.

Dziwny to człowiek był ten Zieliński, posiadał ogromną galerię obrazów i pamiątek, między którymi wiele było rzeczy wartościowych. Jako domyślny człek przysłał mi pewne kwantum na kosztą podróży, i naturalnie że pojechałem. Miałem w tych stronach mieszkającą rodzinę, z ochotą więc wybrałem się na parę miesięcy.

Kielce jest to miasto w prześlicznym położeniu, mające okolice malownicze i nader mile.

Było mi w tych Kielcach jak w niebie. Przedewszystkiém obrazów zbiór duży i bardzo ciekawy; malowałem kilka kopii zamówionych przez okolicznych obywateli.

Pobyt niesłychanie przyjemny. Gospodarz parę pokojów dla artystów przeznaczył i bardzo gościnnie ich traktował. Tam zastałem malarza Kulińskiego, restauratora, to jest odnawiacza starych obrazów.

Malowałem dosyć dużo. Do nauki przeznaczył mi ś. p. Zieliński młodego chłopca, *Józefa Szermontowskiego*, który następnie wyszedł był na znakomitego pejzażystę. Szkoda, że osiadłszy w Paryżu za-

tracił oryginalność w swoich pracach, ale te, które w kraju zostały, przemawiają poezją, swojskością i pięknym kolorytem.

Naczelnik Zieliński był postacią niezmiernie rzadką, dość szorstki w obejściu ze zwykłymi śmiertelnikami, wyjątkowo artystów poważał i kochał.

Trzeba było widzieć go przed obrazem, który zdobył świeżo, a miał dar wyszukiwania dobrych rzeczy, jak zamknięty na klucz w pokoju, po kilka godzin przesiadywał i wpatrywał się w obrazek, mrużąc słowa zachwytu i uwielbienia; oczy mu łzami zachodziły i twarz pałała ogniem. Takich lubowników sztuki nie spotykałem. Podobnym do niego był w latach późniejszych, także już nieboszczyk,

Feliks Gebethner, który odmawiając sobie wiele wygod i przyjemności z trudem i wysiłkiem gromadził koło siebie utwory sztuki.



Kielce, w owe czasy, były miasteczkiem bardzo ożywionem i czy-

stém. Starozakonnym nie było wolno mieszkać; we Wtorki tylko na targ z pobliskich Chęcín, sławnych marmurami swojemi, zjeżdżało się dosyć żydowstwa. Charakterystyczne postacie żydków owych i okolicznych chłopów niezmiernie mnie zajmowały. Dużo zrobiłem w owych czasach notatek. Wogóle na całą moją dalszą działalność artystyczną bardzo wpłynęły pierwsze młodzieńcze lata przepędzone na wsi, w okolicy górzystej, leśnej i wodnej. Wiele czasu spędzałem z wędką na stawie, w gęstych tatarakach, łowiąc ryby na różne sposoby. O, bo gdy dzień piękny, bez wiatru, jest coś czarującego w tych zarosłych stawach! Te kręte korytarze z obu stron gęstwiną malowniczą oto-

czone, ta cisza wodna — motylki niebieskie i migające niekiedy rybki — nadzwyczaj miłe robią wrażenie.



Ale to wszystko już daleko za mną zostało!

Życie w mieście wiele zabiera czasu, a różnaitość postaci in-

teresuje przybysza i spostrzegacza.

Zawsze żałowałem tych ludzi co rysować się nie uczyli. — Człek o wyrobioném smaku artystycznym nie zna, co to nuda. Na każdym kroku i w każdym miejscu jest na co popatrzeć: tu oświetlenie, tam ugrupowanie, tu pofałdowanie, a dopiero wyrazy twarzy tak milionowej różnicy! Dwóch podobnych twarzy spotkać nie można, a co za oryginalne profile, jakie nosy, co za ruchy! Niewyczerpane nigdy studia, tylko trzeba się nauczyć patrzeć, a do końca życia nie podobna się nudzić ani na chwilę!

Jako młody kawaler, zmieniałem kilka razy szlafkamratów, mieszka-



łem przez jakiś czas z Edwardem Petzoldem przy ulicy Ogrodowej, w niewielkim domku drewnia-

nym głęboko w bruku osiadłym. Letnią porą najwygodniej nam było wchodzić do mieszkania przez okno wprost z ulicy. Stawiało się nogę na stole, który stał pod oknem, potem na krzeselku i nareszcie na podłodze. Raz nawet niepospolitego przyjmowałem gościa, a to dla następnej przyczyny. Matka naszego inspektora pani Sestié była rezydentką czy lektorką u księcia Paszkiewicza; otóż syn jój, pan inspektor, razu pewnego zajechał przed ów domek i widząc w oknie stalugi, zatrzymał powóz, w którym siedział wraz z nim książę Teodor Paszkiewicz, syn ówczego namiestnika.

Przyjechali z obstalunkiem!

Chodziło o to, żebym do albumu dla księcia wymalował nowość

wystawioną wówczas na naszém scenie, to jest scenę z baletu „Wesele w Ojcowie“.

Pamiętam jakem usilnie pracował nad wykończeniem téj akwarelli, dość sporéj, a przedstawiającej starego baletnika Popiela, błogosławiącego państwa młodych. Wyszły mi z pamięci nazwiska artystek, które starałem się sportretować. Koniec końców, wrażenie na kolegach i profesorach wywarłem nie małe.

Po paru latach nareszcie dochodziły moje trochę się poprawiły. Budowano statki parowe Zamoyckiego, i do tychże statków za protekcją Piwarńskiego, malowało nas kilku na blachach cynkowych dość spore obrazki, umieszczane następnie w kajutach statków. Pa-

miętam, że malował Gerson, Szermentowski i ja. Co się z tém zrobiło, nie wiem.

Przy ulicy Chmielnej była pensya mężka Withego, gdzie stało kilku paniczów na stancyi, którym dawałem lekcyje rysunków. Byli tam Stanisław Lubomirski, Feliks Czacki, Bromirski, dwóch Karskich i wielu innych. Prócz tego dawałem lekcyje i na mieście. Raz pamiętam dawałem lekcyje rysunków jednemu z paniczów, lecz ponieważ rysunki nie bawiły mego pupila, więc po kilku lekcyach, prosił mnie, bym się nieco spóźniał, bo on całej godziny wytrzymać nie może. Ponieważ byłem z natury zawsze zgodnym, więc przychodziłem z początku na pół godziny, potem na kwadrans, aż nareszcie

doszło do tego, że mój uczeń zostawiał mi bilet w przedpokoju, a sam się wynosił. Już mnie to zaczynało zenować i chciałem porzucić tak łatwo intratną a nie móżolną lekcyjkę, boć to było nie bardzo ładnie, ale urwało się wszystko, bo panicza zabrano z Warszawy.

Na przeciwko mego mieszkania pracował szewc; otóż dowiedziawszy się, że malarz, przyszedł z propozycją, bym mu ładny szyld wymalował, a on mi za to zrobi parę butów. Z nieudanym zapalem wziąłem się do pracy, i za dni kilka namalowałem zgrabniutki but mocno świecący, cień rzucony od buta na podłodze i bliki ostre na skórze, dość dobrze naśladowały naturę. Pan majster jednak ka-

zał mi światła zamalować na czarno, utrzymywał bowiem, że on robi buty całe czarne a nie z białymi plamkami!

Mój Boże, wielu ja potem takich szewców spotykałem, uchodzących za znawców i protektorów sztuki, w dalszej mojej karierze!

Nareszcie około roku 1852 Hirszel, z początku na Miodowej, później na Krakowskim - Przedmieściu, otworzył w swym składzie materiałów piśmiennych, małą wystawkę. Tam kilku kolegów ze mną wystawiało od czasu do czasu swe obrazki, i nawet sprzedaż się rozwinęła.

Była to pierwsza sposobność występowania publicznie. Kilka lat nawet wcale nie zły był ruch w tym kierunku. Można przyznać, że Hir-

szel był pierwszym, który spore położył zasługi, dając możność młodym malarzom zbytu swych obrazów.

Tu muszę przytoczyć historię początku założenia „Towarzystwa zachęty sztuk pięknych“. W lat kilka potem zjechało do Warszawy dwóch cudzoziemców: Zmyoski i Tabaki, którzy, najawszy duży apartament przy ulicy Marszałkowskiej, otworzyli Wystawę obrazów bardzo pokazną. Wówczas w gronie naszych młodych malarzy, trochę starszy wiekiem i dosyć zamożny, Alfred Schoupe, zacny i gorąco kochający sztukę amator malarz, rzucił myśl zawiązania Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Mając wyższe stosunki towarzyskie, z pomocą dyrektora ówczesnego,

Kaniewskiego, wyjednał w Petersburgu pozwolenie na założenie wzmiankowanego Towarzystwa, i w istocie, po wielkich jego staraniach i zabiegach, ze współdziałaniem A. Przewdzieckiego, barona Rastawieckiego i b. gubernatora Białoskórskiego, w roku 1860 Towarzystwo do dziś istniejące, a stonkowo dość świetnie stojące pod kierownictwem zabiegłego wiceprezesa Lucyana Wrotnowskiego, głównie zawdzięcza byt swój Alfredowi Schoupemu.

Około roku 1850 we czterech, to jest: Olszyński, Gerson, Cegliński i ja, postanowiliśmy zrobić wycieczkę w Krakowskie. Sprawiwszy więc sobie długie buty i tornistry, z zapasami malarskimi puściliśmy się w drogę.

Zapewne rzadko który z czytelników, a może i żaden, pieszej po kraju wędrówki nie odbywał; inna to podróż, niż w wagonie kolei żelaznej, wiecznie tak samo mijającej stacje i okolice, a gdzie się odycha dymem i śwędem węgla kamiennego.

Dojechawszy koleją do Strzemieszyc, wysiedliśmy na stacy, i po odejściu pociągu, gdy cisza nastąpiła, pełni najlepszych nadziei, rozpoczęliśmy wędrówkę.

I zaraz na wstępie usłyszałem w krzakach znajome mi dobrze świergoty kochanych ptasząt. Tu zaimponowałem moim towarzyszom znajomością gatunków owych śpiewaków:

— Słuchajcie, o! to trznadel, żółtopióry a fertyczny; żonkę mie-

wa tak mądrą i filuterną, że gdy się zbliżysz do krzaku, pod którym ma gniazdeczko, głęboko we mchu na ziemi usłane, to natychmiast piechotą biegnie pod inny krzak, i dalej znów pod inny, i tak cię zwodzi ciągle aż nareszcie, odprowadziwszy ciekawca dość daleko od swój siedziby, frunie wesoło na wyższe drzewo i krętą drogą wróci do domu, zostawiwszy cię z rozwartą gębą, co często i mnie i pastuchom przytrafiało się.

Więc tedy z tornistrami na plecach, w pysznych humorach, ruszyliśmy ku Ojcowi. Marsz ten po gęstym piasku i przy gorącym dniu, zniewolił nas do pierwszego wypoczynku, i po kilku wymaszrowanych wiorstach, przy pierwszej grupie fantastycznych sosen,

legliśmy obozem, a zapaliwszy ulubione fajeczki, w kłębach dymu oczekiwaliśmy nadzwyczajnych przygód.

Pierwszą jednak i bardzo pożądaną był chłopak z pustym wasągiem; po krótkim targu usadowiliśmy się na bryczce, i podskakując po kamieniach i korzeniach, przywlekliśmy się do cudownego Oj-cowa! Tyle już razy rysowany, i opisywany — dziś nawet do pewnych wygod z dwoma hotelami utrzymywany Ojców, zna już wielu ludzi. W owe czasy zwykła karczma była naszą rezydencją. Więc skoro pogoda, zaraz od rana rochodziliśmy się na studia, znajdując co parę kroków najpyszniejsze dla malarza motywa.

Naturalnie że wzbudzaliśmy,

w malowniczo wówczas ubranych chłopach podziw i małe podejrzenia.— Co u licha te mizimetry opisują? jeden wlaźł na sam wierzch skały, drugi siedzi u spodu nad Prądnikiem; jenszy zadarł głowę i patrzy na czubek świerka.— Czy powaryowały bestye, czy co?

Dnia pewnego, do zaglądnącego mi przez plecy Wicka, mając na kolanach otwarte pudełko a w ręku owalną paletę, odezwałem się: — Cóż, mój przyjacielu, podoba ci się to?

— A które? czy te kwadratne (to widok który malowałem właśnie) cy krągłe (to była paleta z kilkunastoma przygotowanemi farbami)?—Zdaje mi się nawet, że więcej mu przypadła do gustu paleta, niż studyum.

Na przeciw karczmy był spory ogród ze staroświeckim dworem (dziś już ani śladu). Wówczas zamieszkiwał go dziedzic Ojcowa



p. Prędowski. Któregoś dnia byliśmy zaproszeni na obiad. Wystroiksiwszy się, o ile zamożność tor-nistra pozwalala, udaliśmy się do

dworu. Musiało to zrobić silne na nas wrażenie, bo doskonale pamiętam te chwile. Wyobraźcie sobie państwo, kilka pokoi z posadzką pomalowaną na czarno; meble także czarne w białe pasy, także firanki; gospodarz bardzo grzeczny, nieco oryginalny, ubrany także w te dwa kolory, uprzejmie nas przyjął a nawet suto utraktował. Człowiek młody, wyszukanych manier, prowadził z nami rozmowę o sztukach pięknych, i, opowiadając o oglądanych po Europie arcydziełach, dał nam poznać, że posiada pewne pojęcie o malarstwie. Zakończył nawet frazesem „dla mnie jeden tylko jest dziś malarz, to jest Kaulbach i przed nim jednym zginam kolano“.

Następne dni ubiegały nam za-

wsze jednakowo, to jest w dzień na studyach, wieczorami na gawędce, przynaję, że te wieczorne gawędy w karczmie z chłopstwem dużo mnie oświeciły i nauczyły, pod względem charakterystyki typów włościańskich.

Zwiedzając okoliczne wzgórza dotarliśmy do wierzchołka Czajowskiej góry, z kąd przepyszny rozciągał się widok na cały Kraków. Nie mając paszportów na wyjazd zagranicę, nie mogliśmy zwiedzić wtenczas Krakowa. Pewnego dnia ogromne kłęby dymu buchnęły z tego miasta, siedzieliśmy na górze dzień i noc, widok przerażający ale dla nas malarzy pożądany, ciekawy i zachwycający. Trzeba było widzieć tę grę barw, te szczyty licznych wież, zarumie-

nionych pozarem! Pamiętny i straszny to był pożar. Nawet jęk dzwonów doskonale słyhać było chwilami, gdy wiatr w naszą powiał stronę.

W parę tygodni byliśmy w Pieskowej skale, także znanym i ciekawym zabytku przeszłości. Tu także bardzo oryginalny wydarzył mi się przypadek.

Siedziałem właśnie na skale na wprost starożytnego zamku Pieskowskiego, w chwili kiedym rozpoczął rysować kontur najwyższej i najcharakterystyczniejszej wieżyczki, (byłem z ołówkiem przy wierzchołku), gdy raptem dziwnego kształtu chmurka z poza wieżyczki wypłynęła; przetarłem oczy, sądząc że mi się przywidziało, ale chmurka coraz dłuższa

i czarniejsza, niespodzianie plomym zabłysła! Zdrętwiałem!

Znowu pożar! tak niestety, straszny pożar w moich oczach rozpoczęty! na samym wierzchu budynku!

W ciągu dnia cały zamek zgorzał! ratunek niepodobny i utrudniony, gdyż zamek stoi na wysokości skale. Jak się później okazało, blacharze, przy reparacyi dachu, ogień przypadkiem zapuścili.

Te dwa pożary, jeden po drugim, takie kłeski olbrzymie, bolesne wrażenia zostawiły po sobie.

Po kilku dniach, zapakowawszy manatki, w dalszą puściliśmy się drogę. Naturalnie humor nasz popładł, wskutek tych straszliwych kłesk, jakich dziwnym zbiegiem okoliczności byliśmy świadkami.

Podczas pobytu mego w Kielcach u Zielińskiego, pewnego dnia, kilku panów, zwiedzało słynną galerję obrazów i pamiątek.

Byli to książę Kazimierz Lubomirski, znany kompozytor muzyczny; Piotr Jaksa Bykowski, niedawno zgasły zasłużony literat, Anielewski guwerner u Lubomirskiego i Zapolski obywatel z Wołynia, nadzwyczajnej piękności mężczyzna, później mnich osiadły we Włoszech.

Cała ta drużyna wybrała się w celu zwiedzenia niektórych okolic w Sandomierskiem, a głównie dla poznania słynnej Łysiej Góry.

Razem więc z nimi i ja wybrałem się w tę podróż, która nam dość zabawnie wypadła. Jaksa Bykowski, w owym czasie zamo-

zny jeszcze obywatel, posiadał niezrównany humor. Najętemi furmankami podążyliśmy na Łysą Górę. To miejsce, rysowane i opisywane już nieraz, znane jest ogółowi.

Naszą wycieczkę jednakże z innego względu opiszę. Przybyliśmy już samym wieczorem na wierzch góry pod klasztor. Noc była dość ciemna i na górze naturalnie wilgotna.

Zadzwoniliśmy do furty klasztornej, przez szparę furtyan zobaczywszy kilku ludzi w kapeluszach fantastycznych i dosyć, mimo chłodu, wesółych, wziął nas za zbójców, i do klasztoru nie wpuścił; co się ogromnie Bykowskiemu podobowało. Machnęliśmy ręką na tę niegościnnność i ostrożność, i nzbierawszy suchych gałęzi roz-



paliliśmy wielkie ognisko; a posiliwszy się zabranami z Kielc prowizjami, po kilku łykach wybornego wina, otuleni od wilgoci w płaszcze i pledy, legliśmy koło ogniska, i gwarząc wesoło noc całą, doczekaliśmy się dnia białego.

Tysiąc anegdotek różnego kalibru urozmaicało nam ten dziwny nasz nocleg.

Nareszcie po trudach dostaliśmy się do klasztoru, bogatego w obrazy Smuglewicza, a Kazimierz Lubomirski wyjednał zwiedzenie grobów pod kościołem, gdzie odszukaliśmy któregoś Lubomirskiego, spoczywającego w tém miejscu. Po otwarzeniu trumny, znaleźliśmy naturalnie zeschły szkielet. Na pamiątkę uciał pan

Kazimierz kawałek atlasu z żupa-
na nieboszczyka; kawałek ten atla-
su był jeszcze koloru amarantowe-
go i tak mocny, że rozerwać się
nie dawał. Ciekawym, czy dzi-
siejsze wyroby będą tak trwałe;
ale ponieważ przekonać się pra-
wdopodobnie nie będę mógł, więc
daję za wygraną tój sprawie.

Zrobiła się przecudna pogoda,
która, błogo na nas oddziaławszy, do
dalszej wycieczki zachęciła. Pomi-
jam niedawno przez Andriollego il-
lustrowane osobliwości i nadmienię
tylko, iż schodząc z góry, pożegna-
liśmy kamienną postać, która na
klęczkach bardzo powoli idzie ku
górze (co dodaje nam otuchy,
gdyż według opowiadania miejsco-
wego leśnika, skoro dojdzie do
wierzchu, koniec świata nastąpi),

i pojechaliśmy malowniczą drogą
do miasteczka Bodzentyna.

Dojeżdżając do miasta, Bykow-
ski zaproponował nam, abyśmy
prowincjonalnych aktorów uda-
wali. Z chęcią na tę dziwną pro-
pozycją przystawszy, powyginali-
śmy fantastycznie kapelusze, a że
ówczesna moda wymagała w sze-
rokich rękawach u surdutów kolo-
rowych podszewek, wywróciwszy
więc na lewą stronę nasze tużurki,
wyglądaliśmy dość zabawnie.

Gdyśmy w rynku na dwóch bry-
kach się zatrzymali, otoczono nas
odrazu. Między ciekawą publi-
cznością widać było kilka starych
mieszczanek, w charakterysty-
cznych pelerynach z białym jak
śnieg futrem (była to Niedziela
i dzień gorący). Peleryny te nazy-

wano „Dyzabelkami“ i były z jasno-błękitnej grubej jedwabnej



adamszkowej materyi, na głowie zaś z zadziwiającą sztuką w dziwnych kształtach zawiązane, wielkie białe chustki. (Bodzentyn jest miastem rodzinném Józefa Szermentowskiego, o którym wyżej wspominałem).

Weszliśmy do dużej oberży; tu zaraz za nami zaciekawieni mieszczanie. Bykowski więc krótko a węzłowato przemówił do nich

i zapytał, czy chcą zobaczyć tureckiego baszę ze swoim dworem?

— A juści! — była odpowiedź.

Przeciągnęliśmy szpagat przez pół izby, a ugrupowawszy się około kochanego pana Piotra, rozpoczęliśmy przedstawienie.

Bykowski tedy, zrobiwszy z ręcznika naprędce turban, usiadł na stole po turecku, my za nim, i zaczął uroczystą mowę w języku świeżutko zaimprovizowanym. Musieliśmy gryźć sobie języki, by nie wybuchnąć śmiechem, patrząc na zaciekawione i pootwierane gęby szanownej publiczności. A mówił pan Piotr jak natchniony, raz głośno i wolno, to znowu ciszej nieco, a gdy westchnąwszy, jęknął, zoczył w pułap zwróconemi, widać było rozrzewnienie na twarzach

sluchaczy. Nareszcie zamilkł, a dobywszy z kosza naszego szklanke kolorowā, napelnił jā po brzegi winem, co nam jeszcze zostało, i krzyknāwszy: „W wasze niezawodne ręce!“—spełnił toast.

Tu radość publiczności nie miała granic i rozpoczęła się gwarna biesiada. Publiczność uważała to dopięro za wstęp do przedstawienia, co zmiarkowawszy, pod pozorem zmiany kostiumów, dobraliśmy się do naszych bryczek i drapnęliśmy galopem z miasteczka. Mijając już ostatnie domowstwa, słyszeliśmy nie bardzo uprzejme komplementa i spostrzegliśmy kilka kamieni, rzuconych za nami na pożegnanie!

Nie wiem, czy komu dziś udało by się tak bawić, ale my dłu-



go nie mogliśmy się dość naśmiać z naszej wyprawy. Powróciliśmy do Kielc w doskonałych humorach, a uszczęśliwiony opowieścią naszej podróży Zieliński, wydał pożegnalny obiad, i goście a towarzysze naszej wycieczki pojechali dalej.

Często do zbiorów Zielińskiego zaglądali znawcy i amatorowie sztuk. Było rzeczywiście co oglądać. Naprzykład dwa pejzaże Salvatora Rosy, wielkości około trzech łokci na wysokość, malowane z wielką brawurą, które w skutek grubego pędzla (jak u nas przeciętni znawcy się wyrażają), ogółowi się nie podobały, a które dziś są, zdaje mi się, w berlińskiej galerii. Dobrze za nie zapłacono adwokatowi Bronikowskiemu, który odzie-

dzeczył dość dużo obrazów po rodzonym bracie, w Kielcach owemi czasy osiadłym, i który wprost od Zielińskiego, czy też już po jego śmierci, stał się posiadaczem w znacznej części zbiorów po Zielińskim.

Spotkałem także w lat kilkanaście potém, obrazek na drzewie, widok Wenecyi, prawdziwy Canaletti, u Stanisława Potockiego. Dalej znowu takie arcydzieło, jak obrazek Netschera: „Dzieci, oglądające gipsową figurę przy świecy“.

Nie wiem, co się stało z bardzo pięknym obrazem świętego Tadeusza, malowanym przez Czechowicza, jak również portretami królewskimi, malowanymi przez Dolabelle, „Ucztą mitologi-

czną“ nieznanego autora, ale nadzwyczaj pięknym obrazem, i tytu, tytu innemi!

Nie wiem, czy gdzie egzystuje spis owego zbioru, gdzie prócz obrazów, było dużo historycznych i kosztownych pamiątek. Była tam srebrna głowa Esterki, rzadkiej piękności i wartości. Szkoda takiego znakomitego zbioru!

Zieliński, jako człowiek bezdziejny, nosił się z myślą zapisania tego całego swego muzeum na własność publiczną; tymczasem w końcu życia, obarczony długami, zmarnować musiał tyloletnią pracę i starania.

W Kielcach, jak już wspominałem, niezmiernie miłe zamieszkiwało towarzystwo; grywaliśmy na cele dobroczynne teatru amator-

skie, z wielkiem powodzeniem. Pamiętam moje tryumfy, jako pierwszego tenora: — występowałem w sztuce pod tytułem „Landara“, gdzie miałem rolę wędrownego aktora-śpiewaka; i czy Kielce były mało wymagające pod względem muzycznym, czy ja w istocie miałem piękny tenor, dość, zem wrazenie robił kolosalne, a kilka pensyonarek zakochało się w malarzu, co tak ślicznie śpiewa!

Tu odsunawszy na bok skromność wrodzoną, przyznać się muszę, że sztukę gwizdania doprowadziłem do wysokości doskonałości, i od lat 50-u, czyli przez pół wieku, nie spotkałem prawie nikogo, co-by mnie pod tym względem sprostaał. Widać jednak, w co zupełnie uwierzyłem, że tylko praw-

dziwi tenorzy ładnie gwizdać mogą, dwóch bowiem tylko spotkałem w życiu rywali: Mierzwińskiego i Filleborna; lepiej od nich gwizdających nie słyszałem, a bliźni mówią, że ja daleko od nich lepszy gwizdała. W istocie, mam zmysł muzyczny bardzo rozwinięty, kocham muzykę nadzwyczajnie, a ponieważ oddawszy się malarstwu, nie chciałem już przechodzić edukacji muzycznej, więc ze słuchu nauczywszy się także akompaniować, bardzo trafnie, jak mówią biegli, do dziś dnia zbieram często oklaski, nawet od specjalnych znawców.

Uważałem też, że na nerwy kobieteczek, których nie mogę się odzwyczaić uwielbiać, gwizdanie moje oddziaływa w sposób zdu-

miewający. Więc będę do końca życia mego gwizdał, i co mi kto zrobi?...

Powróciwszy nareszcie po dwóch latach najmilszego pobytu w Kielcach, osiadłem na stałe w Warszawie. W Warszawie także między licznymi otwartymi domami, bardzo gościnnymi, górował salon Łuszczewskich, rodziców znakomitej Deotymy. W Saskim pałacu słynne Poniedziałki trwały lat kilkanaście. Tu zbierało się wszystko, co się w owe czasy odznaczało talentem, zasługą, lub znakomością rodu.

Młodziutka Deotyma improwizowała poemata na różne zadania

i wprowadzała w zdumienie zgromadzonych gości.

Salon, w ścisłym znaczeniu tego słowa, jeśli jest nie przesadzoną galanterią tylko, ma wielkie społeczne znaczenie. Młody człowiek, bywający w salonach prawdziwie dystygowanych, nabiera przyzwoitych manier i robi sobie na przyszłość towarzyskie stosunki. Niestety, dziś (w r. 1890 r.), niemal powiedzieć można, iż niema ani jednego.

Jako stary Warszawiak, pamiętam salonów kilkanaście, w których zgromadzało się mnóstwo osób. Każdy młody człowiek starał się bywać w salonach takich i to go ocalało od wielu i bardzo wielu niepotrzebnych, a często zgubnych towarzystw.

Byłem i ja wprowadzony do salonu Łuszczewskich, a z tego źródła wiele innych, równie znacznych i otwartych domów poznałem.

Były także i salony niearystokratyczne, również niesłychanie przyjemne i gościnne. Do takich należał dom Kucza, redaktora niegdyś „Kuryera Warszawskiego“, dom doktora Tryplina, Wojcickiego, i wiele, wiele innych.

Jeśli się nie szło na wieczorek do którego z tych domów, to naturalnie w domu się nie siedziało. Wtenczas zwykle odbywała się mała narada, co dziś robić należy? Między młodzieżą dużo było zawsze takich, którzy do artystów lgnęli; co prawda, między młodymi malarzami rzadko się spotyka nudziarza; a ponieważ nigdy nu-

dziażem nie byłem, więc mnóstwo tak zwanych dobrych chłopaków mnie otaczało.

- Co ty Franek dziś robisz?
- Albo ja wiem; to zależy...
- Od czego?
- Naturalnie od kasy.

Więc wydłubywanie z kieszeni; każdy ile miał, składał na stoliku. Ogólną sumę, która czasami nawet kilkanaście złotych wynosiła, pakowało się do małej szkatuleczki, zamykanéj na kluczyk. Najlepszemu rachmistrzowi i najzgrabniejszemu gospodarzowi powierzałyśmy ową kasę, i jazda na miasto!

Najpiérw po kieliszeczku ulubionéj i modnéj ratafii albo kalmusówki. Uczta taka zaczynała się „pod Haleją“; była to restaura-

cyą przy Koziéj ulicy, gdzie za 20 groszy porządny człowiek dostawał dwa ogromne zrazy z kaszą lub kapustą, wybredniejszy plaster sztufady, jak czapka, z kartoflami, albo rozbratel (porcy były ogromne); po parę kufli bawara, który był daleko smaczniejszy i lepszy niż dziś, za groszy 6. Następnie szliśmy na Piwną, gdzie nas czekał deser. Deserem tym były to pączki z powidłami, największe w Warszawie, sztuka 3 grosze.

Takie dni uroczyste jednakże nie zawsze się trafiały; bo jeżeli kasa, a bywało tak bardzo często, wynosiła np. złp. 1 groszy 18 na czterech lub pięciu, to feta kończyła się na bochenku chleba i serdelkach.

Pomimo tak skromnych warunków, mieliśmy humory przepyszne. Anegdota, naśladowanie profesorów, lub wyniosłe myśli o sztuce, czasem klótnie o pojęciach sztuki, które dość hałaśliwie się odbywały, dopełniały uczy.

Razu jednego, broniąc uporczywie rodzajowego malarstwa, dostałem gorącym zrazem od ś. p. Gierdziejewskiego w samo czoło; na co nie chcąc mu pozostać dłużnym, rzuciłem weń kwaszonym ogórkiem, lecz chybiwszy, zbiłem szybę w oknie. Na odgłos stłuczonego szkła, gospodarz się zjawił i to wpłynęło na zawarcie pokoju, który naturalnie skończył się zgodą serdeczną. Za szybę rozbitą obiecałem na drugi dzień wymalować widok Wezuwiuszu,

na wyraźne żądanie restauratora, który mi rubla z radości dopłacił!

— Trzeba-by, wiesz ty co, — wyrzekł raz Marcin Olszyński — zrobić efekt na maskaradzie...

Więc tedy po dłuższej naradzie postanowiliśmy ukleić ogromny but, który miał być oprowadzany przez szewca. A więc na trzecią maskaradę zjawilem się w owym bucie, którego cholewę wciągnąłem z góry aż do kolan; obcas wypadł nad głowę, nos zaś buta sterczał na przodzie. Marcinek, ucharakteryzowany za szewca, oprowadzał mnie, i niektórym ówczesnym dandysom brał miarę na głowę. Rzeczywiście efekt był wielki i na drugi dzień w „Kuryerze“, z wielką naszą radością wyczytaliśmy najpochlebniejszy o tym



konceptie artykuł. Było mi w o-
wym bucie okropnie gorąco, ale
ponieważ kilku kolegów było ra-
zem z nami, więc od czasu do cza-

su coraz inny w but włożył, a ope-
racya ta odbywała się na scho-
dach, gdzieś w kącie.

Co to za radość i jaka duma
nas napelniała, gdy koło nas gro-
madziła się masa publiki, buchają-
ca śmiechem. Bawiąc na tój ma-
skaradzie do czwartej czy piątej
godziny, spostrzegliśmy jakiegoś
jegomościa, który ubrał się w cza-
marę, a potrzeby, to jest szame-
runki, miał zrobione z prawdzi-
wych kielbasek.

— Zjedzmy go! — któryś krzy-
knął, no i w moment był zjedzony
na miejscu.

Wtém zjawił się Puchala Cy-
wiński, pułkownik. Chciał być sro-
gim i aresztować nas zamierzał,
ale nie wytrzymał długo, sam
parsknął śmiechem.

Bywałem też i w gronie cyganki, którą składali: Włodzimierz Wolski, Zmorski, Dziekoński, Filborn, Niewiarowski i kilku, których nie pamiętam. Grupa ta, nieco w owe czasy dla mnie za stara, traktowała mnie trochę lżej; wszakże i z nimi hułało się czasem.

Koło gmachu Loteryi, obok Kopernika, była budka, a w niej, jak i w kilkunastu innych miejscach, mieszkało kilku tak zwanych budników, rodzaj nocnych policyantów. Otóż często nas spotykając, przyzwyczaili się do hałaśliwej gromadki, a przez wdzięczność z naszej strony, przysłał któremuś myśl wyuczenia budników kontredansa. Dostawał każdy w łapę parę dziesiątek, potem ustawialiśmy ich według formy

i przy mojem gwizdaniu, wcale już nieźle dwie figury pierwsze umieli. Naturalnie, że i im, i nam nareszcie sprzykrzyła się dalsza edukacya, i na tych dwóch figurach przestaliśmy.

Największego protektora i serdecznego przyjaciela miałem w zacnym Kuczu. Ten kochany przez wszystkich człowiek, pisał w „Kuryerze“ o każdym moim obrazku, poznawał mnie nieraz z ludźmi, wysoko położonemi.

Pamiętam, żeśmy kilka sutych bibek przebyli z takim naprzykład dygnitarzem, jak minister Turkull, który był wielkim zwolennikiem humoru i dobrego wina, a wiele-to śniadanków z wielkimi panami już wówczas się zjadło! Było np. dwóch hrabiów Czapskich, którzy byli pra-

wdziwemi typami wielkich panów; prócz fet wielkich, często dostawałem obstalunek na obraz, na który i zadateczek się zaraz znalazł, a często i zgóry zapłacono. Tych i takich, niestety, nie wielu jednakże bywało!

Jednemu z wielkich panów, który mnie licho zapłacili, opowiedziałem, jak kiedyś bankier Matthias Rosen, któremu za protekcyą, jak zwykle, poczciwego Kucza, odniosłem zamówiony jakiś mały obrazek, i rozdygotany cały stanąłem przed nim.

— Dziękuję panu; a ile mu jestem dłużny?

Jest to chwila krytyczna i mocno do dziś dnia mnie denerwująca.

— Sam nie wiem...

— No, a któż będzie wiedział?

— Najlepiej, niech pan dobrodziej sam oceni.

— No, jak panu dam dwieście złotych, czy pan będziesz kontent?

— A! panie dobrodziej, aż nadto!

Spojrzał na mnie mile i poszedł do biurka; włożył pieniądze w kopertę i takową mi wręczył.

Ukloniłem się nisko, i szczęśliwy nad wyraz, wyleciałem na schody, w sieni bowiem już kilku koleżków niecierpliwie na mnie czekało.

— A co? masz?

— Mam!

— Brawo! niech żyje Franek! no, a teraz funda!

W restauracyi, ale już droższej, zajrzeliśmy do koperty. Nie było tam dwieście złotych, ale trzysta!

Połowę schowałem do buta, a za resztę biba wielka, chciałem powiedzieć: aż miło! — ale sumienie każe mi wyznać, że aż nie miło!

Jednakże muszę się pochwalić, że lubiłem bardzo i poważniejsze, czyli porządniejsze towarzystwo; więc często koleżków puszczałem w trąbę, a sam, ufryzowawszy długie i czarne kędziory, we fracku, chodziłem do porządných ludzi.

Kochiwałem się w przeróżnych pannach po kilka nieraz tygodni, laskawie, choć zlekka traktowany przez mamy i papów. Grywałem teatru amatorskie nie wiem sam po ile razy, zawsze z ogromnym sukcesem. Zdaje mi się dziś jeszcze, że gdybym był poszedł na scenę byłbym został dobrym akto-

rem! Teatr, muzykę, taniec uprawiałem z wielkim zamiłowaniem.

Teatr namiętnie lubiąc bywałem w nim często, ma się rozumieć, na Paradyzie; przypuszczam, że wielu z czytelników nigdy tam nie byli, więc muszę opowiedzieć jak się to odbywało. Ponieważ teatr zaczynał przedstawienie o siódmej, trzeba więc było przy drzwiach prowadzących na Paradyz stać już o w pół do szóstej; kto pierwszy, ten lepszy; staliśmy więc oparci o drzwi i gnieceni przez późniejszych przybyszów.

Skoro woźny teatralny drzwi otworzył, wówczas galopując po kilkuset schodach, wpadaliśmy na Paradyz zajmując pierwszą przy poręczy ławkę. Niezdarni lub mający mniej charakteru w nogach,

musieli już siadać za nami, z kądem naturalnie nie tak dobrze scenę widać. Otóż godzinę przynajmniej prawie po ciemku trzeba było wy-czekiwać. Czas ten urozmaicaliśmy sobie mnóstwem figlów, których największa porcja dostawała się żydom. Niepodobna wszystkich przytaczać. Gryzło się przez ten czas orzechy, zajadało pierniki, chleb świętojański, buczynę i tym podobne specyały.

Jeden z moich kolegów spóźnił się nieco i wypadło mu siedzieć po-za żydkiem, który zajął miejsce w pierwszym rzędzie, a miał artysta ten w kieszeni flaszeczkę z terpentyną potrzebną do malowania, którą przypadkiem w ubra-niu zapomniał. Otóż wlał w otwartą kieszeń od surduta żydow-

skiego sporo terpentyny, i odor przykry się rozszedł.

— Panie żandarm — powąchaj pan tego żyda, przecież wytrzymać nie można.

Żandarm powąchał, i wyprowadził żydka za drzwi. Tym sposobem, koleżka mój, zyskał dobre miejsce.

Mój Boże! wiele to razy słuchało się z góry Dobrskiego lub Żółkowskiego, choć pot kapał z głowy aż do krzesel. Wściekle bowiem tam zawsze panuje gorąco, a jakie rozmowy! naprzykład: „Co się pan pchasz na mnie, czyś pan szlachcic? — O jój! — była odpowiedź — „a Pan“ — „O laboga“. Wszystko wtedy bawiło — wszystko się podobało! Szkoda, że to się już nie wraca.

Jak nas naprzykład, dziwiło to, że ci państwo w lożach nigdy się nie śmieją, ziewają lub odbierając wizyty, głośno rozmawiają i nie doczekawszy końca sztuki, wychodzą, tracąc najpiękniejsze sceny. Było to dla nas niepojęte!

Śród bardzo miłych i gościnnych domów, poczetne miejsce zajmował doktor Tryplina, niezmiernie ozywiony, fetował gości i bawił. Zbierało się tam towarzystwo bardzo liczne i bardzo urozmaicone. Więc literaci, muzycy, malarze, panowie etc. etc.

Często urządzano wieczory tańcujące. Na takim wieczorze tłok bywał ogromny, młodzieży huk. Pań i panien mnóstwo. A mie-

szkał na Krakowskiem-Przedmieściu, na pierwszym piętrze, z dużym salonem, w domu wówczas Żukowskich, który dziś już nie egzystuje, przeprowadzono bowiem Nowo-Miodową ulicę na tém miejscu.

Na imieniny pani domu, urządzono bal większy. Wszedłszy do salonu, po przywitaniu z gospodarstwem, spostrzegłem gęstą kupkę młodzieży, otaczającą ładną jakąś młodziutką panienkę... Była to Lucynka Żukowska, jedynaczka, córka właściciela domu, posiadającego ładny prócz tego majątek ziemski.

Ma się rozumieć, że młodzież starała się na wyścigi przypodobać i rozkochać panienkę.

Forma każe się wszystkim pa-

nom starszym, paniom i pannom przedstawiać, Tryplin wzięwszy mnie za łokieć przyprowadził przed panienkę, coś jej szepnął do ucha, a ja ukloniłem się bardzo zgrabnie i nie pchając się za innymi stanąłem w kącie pokoju.

Nie wiem dlaczego, ale nieśmiałem się zbliżyć do niej. Oczyma tylko kilkakrotnieśmy się spotkali.

Panna przyzwyczajona do nadskakiwania młodzieży, widząc że ja zdaleka się trzymam, sama przechodząc przemówiła do mnie; krótko ale zręcznie odpowiedziałem i zabawiwszy z godzinę na drugi wieczorek poleciałem.

Wszystko to wyszło mi na dobre. Za parę dni dostałem zaproszenie na obiad do Tryplina i tym razem siedząc obok panienki,

ośmielony łaskawém obejściem całego towarzystwa, od razu stałem się śmielszym i krótko mówiąc zakochałem się po uszy, choć bez żadnej nadziei.



Przyszła wiosna, sprawiłem sobie jasny kosmaty cylinder i pelerynę podług ówczesnej mody. A że ogród Sasaki — aleje Belwederskie, Łazienki Królewskie, były licznie odwiedzane przez spacerujących,

Często więc z matką, gdyż ojciec na wsi przebywał, spacerowała Lucynka po alejach.

Naturalnie, że o niej tylko marząc; co dzień niby przypadkiem spotykałem ją na spacerach.

Po odprowadzeniu do domu za drugim razem, matka, wielkiej zamożności kobieta, zaprosiła mnie na górę. Za chwilę przyszedł Józef Lubowski, znakomity fortepianista i kompozytor, który lekcyę dawał w tym domu. Był to człowiek stworzony na kochanka, piękny jak Apollo o niebiesko-czarnych włosach, blady, interesujący, w którym wszystkie ówczesne panie i panny na zabój się kochały.

Położenie moje stało się od razu przykre, czułem, że rywalizacya niepodobna. Zazdrość którą du-

siłem w sobie, bardziej mnie jeszcze roznamiętniała.

Nie wiem, czy miłość prawdziwa i szczerą bywa widoczną dla innych od razu, ale panna Lucyna odczuła moje zgryzoty. Zaczęła się walka myśli i podrażnionej mojej ambicyi.

Powtarzałem ciągle, że malarstwo kocham, że jakto dobrze, że artyście nie wolno się żenić, że mam nadzieję wkrótce wyjechać zagranicę, że powinna z matką na wieś jechać na całe lato; jedném słowem, mówiłem wszystko przeciwnie temu jak sobie życzyłem.

Nie wiedziałem, że starzy z sobą dosyć źle żyli, i że dlatego o wyjeździe na wieś mowy być nie mogło.

Któręjs soboty, a był to dzień

tygodniowego przyjęcia, poznałem ojca. Twardy, zimny i dumny szlachcic, wyraźnie mi swém obejściem okazywał obojętność. Rozmowa z rolnikiem dla mnie zawsze była trudną, bo nie mam o gospodarstwie żadnego pojęcia. Nie kleiło się więc z nim.

I przyszły takie tygodnie, w których nie mając żadnej nadziei, zacząłem unikać spotkania się z moim ideałem.

Straciłem na humorze, co niecierpliwiło moich kolegów, i co narządo mnie na niemile z ich strony zarciki.

Na jednym z wieczorów literackich, u Łuszczewskich, poznałem się z hrabią Łubieńskim Kazimierzem, byłem wojskowym polskim, człowiekiem znacznej fortu-

ny i zacnego serca. Otóż ten pan, po pewnym czasie, zaprojektował mi wyjazd na jego koszt do Paryża, gdzie miał mnie zamiar zostawić, zapłaciwszy z góry za rok pobytu.

Świetna ta a tak niespodziana propozycja, zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Więc o wyjeździe moim prędko się wieść rozeszła. Naturalnie, że doszła i do mojej panny.

W parę dni otrzymałem list od matki panny, zebym koniecznie był u nich na obiedzie.

Z bijącym sercem i stanowczém postanowieniem pożegnania, pośpieszyłem do pani Żukowskiej.

Pomijam rozmowę i wypytywania się o wyjazd mój, dość, że wstając od stołu, panna wzięła

mnie za rękę i nieco pobladłszy, rzekła: „Pan nie pojedziesz“.

Proszę sobie wyobrazić moment w którym to usłyszałem.

— Wszak prawda? — powtórzyła.

Wyrzekłem pocichu: — Tak pani.

W rok potem po niewiem wielu i jakich przeszkodach, ślub nasz naznaczono na początek 1854 r. Ojciec jednak wyraźnie trzy razy mi powtórzył: „Nie dam wam ani grosza“. Szlachcic ten, dziś już nieżyjący, przez lat 18 dotrzymał święcie danego słowa, aż do śmierci.

Nie ma, powiadają, tego złego, coby na dobre nie wyszło. Fortunka 75,000 rs. znalazła się dla moich pełnoletnich już dzieci, po

śmierci rodziców mej nieboszczki żony.

Tym sposobem córki otrzymały po 25 tysięcy rubli posagu — i mężów znalazły.

Syn machnąwszy znaczną część spadku od razu, jest zabezpieczony, bo jako zdolny bardzo portrecista i to przeważnie kobiet, ma już powodzenie. Ja zaś powróciwszy na starość do kawalerskiego bytu, odzyskałem swobodę, tą najdroższą spuściznę — i właśnie może dlatego zachowałem do dziś dnia okazałą porcyę humoru.

Humor, rzecz dziś tak rzadka i tak nawet trudna, potrzebuje tylko dwóch rzeczy, poczciwego i wytrwałego żołądka i ograniczenia potrzeb; przez lat trzydzieści kilka, musiałem trzymać mieszka-

nie o pięciu pokojach, i prowadzić dom nie okazały ale przyzwoity.

Mając otwarte wszystkie klamki najzamożniejszych domów, a wszędzie laskawie widziany, dałem sposobność obu po kolei córkom bywania wszędzie, doprawdy, że nie wiem czy są panny, które by tyle się wybawiły co moje! Bywały karnawały, gdzie hasały co dzień, a często trzeba było po dwa bale na raz przeharować. Dziś obie już matkami, dziwnie mimo wesoło przepędzone panieństwo, gospodarne i pracowite ogólną cieszą się sympatyą.

Widocznie Pan Bóg nad sierotami czuwał! Dlatego też mnóstwo dziwi się ludzi, że bez matki, i z artystycznym usposobieniem, dokazałem niemalżej sztuki.

Ś. p. matka mojej żony, jako kobieta, i jako zająca kobieta, mając swój niewielki stosunkowo majątek, przychodziła nam z pomocą jak mogła.

Żona moja, dziś już od lat 20 nieżyjąca, była kobietą wielkiego charakteru, niepospolitego rozumu; kochaliśmy się bardzo.

Byłem stosunkowo bardzo szczęśliwy, troje dzieci dał Pan Bóg, straciłem jednak żonę w sposób niezwykle, który tu dla przestrogi przytaczam, choć w swoim czasie gazety to opisywały.

Była epoka (która dziś znowu powraca) zajmowania się spirytyzmem. Niepamiętam jakim już sposobem książki traktujące o świecie pozagrobowym, wydawane między innymi przez Allan Cardeca

i Flammariona, wpadły w ręce mojej biednej żony. Pod wrażeniem tych dzieł, ponętnie podobno pisanych, myśl o życiu przyszłym zaczęła moją żonę prześladować. W tym właśnie czasie przyjechała pani czy panna Hersylia z Paryża, sławna jasnowidząca.

Przez ciekawość żona moja z przyjaciółką udały się do tej prorokini (niech jej nie znam!) która śmierć mej żonie niedługo zapowiedziała. Fatalność chciała, że zapadła w ciężką chorobę, z której pewno-by wyszła, gdyby nie owe nieszczęśliwe przepowiednie. Gorączka się ciągle wzmacniała i oczekiwany napewno zgon nastąpił. Są to najboleśniejże dla mnie wspomnienia i dlatego umyślnie o nich zamilczę.

Przepraszam Cię najmocniej czytelniku, żem z bólem moim przed nim wystąpił, jeszcze raz przepraszam i wracam do humorystyki, bo to mój obowiązek!



ut w mojem życiu trzy razy odegrał ważną rolę! Pierwszy olejny obstalunek, szyld dla szewca, przedstawiający but. W bucie na maskaradzie ubawilem całą publiczność warszawską i stałem się głośnym w dość dużem kole znajomych. But nareszcie schowałem memu

teściowi, który niespodzianie do Warszawy przyjechał z zamiarem przyaresztowania w ostatnim momencie mego ślubu. A miał z sobą tylko jedną parę butów, więc musiał w domu zostać. Tak panowie, żeby nie ten but, byłoby wszystko inaczej.

Sformowawszy dom, musiałem myśleć o powiększeniu dochodów. Ponieważ jako do dziś dnia się dzieje, sztuka na twardy grunt trafiła, czyli, że trudno jest obraz sprzedać, więc rzuciłem się na illustrowanie pism, bo choć nie wielki, ale zawsze jakiś grosz zarobić można, i także zacząłem dawać lekcye.

Dzięki już licznym znajomościom, miałem lekcye w najzamożniejszych domach: Potoccy, Za-

moyscy, Platerowie, Jezierscy, Lubomirscy, Łubieńscy i wiele innych zamożnych domów, protegowali mnie jako nauczyciela akwarelli i rysunku w swoich domach.

Zapewne, że kilka, i to najlepszych godzin dnia, musiałem poświęcać dawaniu lekcyi; z drugiej strony, coraz nowe stosunki, a zawsze najlepsze, wyrobiły mi sympatyą i uznanie, któremi do dziś się cieszę.

Dostawszy parę tysięcy rubli od matki żoninój na podróż, zwiedziłem w 1856 r. Paryż, Bruksellę, Drezno, Berlin, Wiedeń, i jakkolwiek żałuję, że dłużej dla wiedzy artystycznej za granicą nie został, to znowu z drugiej strony, choć sam wiele braków w technice swojej postrzegam, tyle jednak

zyskałem, że będąc ciągle w kraju, kraj tylko rozumiem, krajowe postacie i krajowe okolice tylko maluję, i zdaje mi się, w rysunkach najczytelniejszym dla swoich zostałem.

Dziwnie to jest o sobie korzystnie mówić, lecz zastawiam się tyloma i w tylu gazetach pisaniami o mnie artykułami. Wszak prawda?...

Miałem Was, o cierpliwi czytelnicy, bawić, a ja tu baję o rzeczach seryo. Trudno mi naprawdę w porządku chronologicznym jedno po drugim opowiadać, więc proszę o pobłażanie; rozmaite w rozmaitych czasach przytoczę zdarzenia.

Wiele rzeczy mi się udawało; jedna nigdy, to jest powaga. Ile tylko razy chciałem być poważnym, zawsze dałem kiksa. I tak:

Pani hrabina Maurycowa Potocka, bardzo rozumna i miła osoba, spotkawszy mnie gdzieś na balu, wyrzekła:

— Panie Kostrzewski, słyszałam, że pan dajesz lekcye u Augustów Zamoyskich?

— Tak, pani.

— Bardzo tam mi pana zachwalają. Mam dwie córki dorastające; biorą lekcye rysunku od Tegazza, ale okropnie ich to nudzi. Jedna nie ma, zdaje mi się, żadnych zdolności, a druga bardzo leniwa.

— Ach, to lekcya akurat jak dla mnie.

— Dziękuję, więc proszę przyjść jutro około drugiej godziny, to się umówimy.

Na drugi dzień pośpieszyłem na naznaczoną godzinę, i zastałem panią hrabinę już na mnie oczekującą.

Podobnie miłej i dowcipnej damy nie zdarzyło mi się spotkać. Osoba niemłoda, wówczas już około 50-letnia, bardzo otyła, o rysach kształtnych i rozumnych oczach, jest tak pełną wdzięku i prawdziwej pańskości, że mogłaby być modelem wielkiej pani, ale wątpię, czy łatwa do naśladowania. Rozmowa z nią jest prawdziwą przyjemnością; tyle tam przenikliwości, tyle bystrego pojęcia, tyle znajomości sztuk pięknych, że doprawdy, żałuję każdego, który

nie miał sposobności zbliżenia się do niej. Jakaż-to różnica od innych, nadętych, prawie niegrzecznych dam salonowych, które swym chłodem w obejściu ziębia każdego odrazu i które pożegnawszy, czujesz lekkość w sercu.

Ukazały się panienki podlotki, w czarnych sukienkach, żalobie po stryju, Augustie Potockim, ze spuszczonei oczyma i prawie zakonnemi manierami. — Boże! jakże te lekcye będą smutne! — pomyślałem sobie, ale nazajutrz poszedłem.

Dla przyzwoitości towarzyszyła nam przy lekcjach Angielka, wysoka, rumiana ale chuda, rudawa, nierozumiejąca ani słowa po polsku, tak, jak ja nawzajem ani pół słowa po angielsku.

Zasiedliśmy w pokoju panieńskim przy stoliku: ja w środku, po bokach panny, vis-à-vis mnie Anielka.

Powiedzianém było, że lekye odbywać się będą od 11-éj do 12-éj. Piérwsze chwile zajęła nam rozmowa o tém, jaki papier będzie potrzebny, czy ołówki, jakie zastalem, są dobre, i czy nie można-by odrazu malować, bo rysowanie to nudne.

— Proszę pań, rysunek jest dużą malarstwa. Kto mało i źle rysuje, ten malować nie może nigdy.

Piérwsza ta definicya, wygłoszona wolno i poważnie przezemnie, widocznie pannom się nie podobała, bo jedna wyrzała przez okno, a druga schyliła się po coś na podłogę. (Milczenie).

— Proszę pana, — odzywa się po chwili panna Marya (dzisiejsza ordynatowa Zamoyska) — pan się podobno okropnie żab boi?... Czy to prawda?

— O jój! — myślę sobie — co to będzie?

— Bo nam mówiła panna Zamoyska (dzisiejsza hrabina Krasińska), że jak pan zobaczył u nich w ogródku żabę, to pan aż krzyknął.

— Tak, pani, nie cierpię tego stworzenia... ale to mniejsza. Proszę pani, każda rzecz przedstawia bryłę, która ma swoje oświetlenie, i od tego zależą wypukłości, które należy na obrazie...

A tu hyc! hyc! prawdziwa, żywa żaba z pudełka po stole wprost do mnie podskakuje.

Zerwałem się jak wściekły, przewróciłem dwa krzesła i zbladłem jak ściana. Tu Angielka, coś bełkocząc do mnie po angielsku, wsta-



ła, wzięła zabę przez chustkę i wyrzuciła ją przez okno. Potém, zwróciwszy się do panien, które taczały się ze śmiechu, coraz ci-

széj coś mamlala, aż nareszcie wyszła z pokoju, czerwona jak cegła, a ja, oglupiały, spojrzalem na zegarek. Dopiero dziesięć minut upłynęło, a więc jeszcze pięćdziesiąt zostało. Wtém boczne drzwi się otworzyły: wszedł fagas wygolony i wygalonowany, i wypowiedział:

— Starsza pani przyjechała.

— A! babcia! babcia! Przepraszamy, ale zaraz wrócimy — i poleciały, jak dwie czarne jaskółki.

Za chwilę przyniósł lokaj papierosów od pani hrabiny, żebym sobie tymczasem zapalił.

To mi trochę ulgi przyniosło. W dobre pół godziny powrócili wesole i śliczne te dwie panienki; przyrzekły uroczyście, że już wię-

cój żab nie będzie, i że będą już cicho.

Usiadły.

— Więc, chcąc przenieść na papier przedmiot upatrzony, trzeba najpierw naznaczyć kierunek, potem podzielić na główne partye...

— Proszę pana, czy łatwiej jest malować akwarellą, czy olejno?

— Czémkolwiek chcąc malować dobrze, zawsze jest trudno.

— Ja-bym chciała się nauczyć malować konie. Dobrze, panie?

— Dobrze.

— A ja nie lubię koni; ja-bym chciała umieć malować portrety na pamięć.

— Dobrze pani; ale zanim rozpoczniemy tamte prace, trzeba przedewszystkiém...

— Przepraszam; pan zna Gucia?

— Znam, pani.

— To wie pan co? dajmy już dziś malarstwu pokój i chodźmy na dół do Gucia.

Wtém drzwi się raptem otwożyły i Gucio, z którym się już doskonale znałem, wpadł jak bomba.

— Jak się masz, Kokuś! Co ty się tu będziesz z niemi nudził? Chodź na śniadanie.

— Ależ mój drogi...

— Niéma żadnego „ale“ — i wsadziwszy mi na głowę kapełusz, wziął mnie pod pachę i pociągnął za sobą; w jednej chwili zlecieliśmy ze schodów do jadalnej sali, gdzie już kilka osób siedziało, a po-za niemi stało sześciu wygalowanych i wyprostowanych lokai. Stary niemiec, „Pacyk“,

marszałek dworu, dyrygował posługą. Śniadanie przewyborne, wina pyszne, rozmowa najpyszniejsza.

Sfrunęły natychmiast i obie panny z góry i zasiadły do wesołego stołu.

To była pierwsza lekcya. Za taką lekcję bierze się trzy ruble. Ale takich więcéj nie dostanie!

Na drugiej były fajerwerki. Gdym wchodził do pokoju, moje śliczne i najmilsze uczennice zapaliły race pokojowe. No, i tak w dalszym ciągu dawałem lekcye przez lat pięć. Odrobineę się jednak te panie poduczyły; panna Natalia nawet troszkę już zaczęła rysować, a przynajmniej trochę się z rysunkiem obeznała.

Lekcye u Platerów. Były dwie panny Plater, które zaczęły brać lekcye poważniejsze. Nawet młodszą, zdaje mi się że Cecylia (dzisiejsza Włodzimierzowa Plater), robiła znaczne postępy; oddana była sztukom, i powiedziéć mogę, iż była moją najzdolniejszą uczennicą. Siostra jéj (dzisiejsza Konstantowa Przeddziecka), także do pewnego stopnia nabrała wprawy. Ale cóż, kiedy tam znowu co lekcya przybywał ktoś nowy: to jeszcze siostra, to brat jeden, to potém dwóch braci, tak, że w końcu trochę mi tego było za dużo.

U hrabiostwa Augustów Zamojskich, gdzie dawałem lekcye

pannie Annie, wychowywała się Marya Potocka, bliska ich krewna. Była to istota dziwnego uroku i nadzwyczajnych zdolności. Ślicznie już zaczęła malować, pisała bardzo udatne poezye, grała ładnie na fortepianie. Biedaczka, młodzianka jeszcze, umarła na suchoty. Wielka szkoda, bo takięj drugięj nie spotkałem.

Dawałem także lekcyę u hrabiny Borch. Miała dwie córki, w swoim czasie słynne z piękności, szczególnięj młodszą. Wyszła za Sapięę czy Sanguszkę, i młodo zmarła. Była to nadzwyczajna piękność: jasna blondyna, cudownych rysów, z czarnemi jak smoła oczyma.

Pamiętam na wielkim balu u Karola Krasińskiego, w pałacu da-

wnięj Andrzeja Zamoyskiego, na Nowym-Świecie, gdy weszła do sali w białęj sukni, z gwiazdą brylantową nad czołem, odrazu zrobiło się cicho — wszyscy oniemieli z zachwytu.

Dziś takich piękności, jakie były dawnięj, nięma ani jednęj; a wtenczas w tym wielkim świecie było ich kilkanaście niezwykłego uroku.

Taka naprzykład, już podówczas niemłoda, pani Płatonow (z domu Drzewiecka), klasyczna piękność; pani Zenejda Lubomirska; pani Iza Tyszkiewicz; panna Łabuńska; pani Przeddziecka; pani Świejkowska, pani Czosnowska, późnięj pani ordynatowa Zamoyska i t. p.; a dziś kto? — ani jednęj. Doprawdy, że ten świat codzięń marnięje. Bieda, brzydota,

plaskość, bankructwa... Powiéktoś, zem się zestarzał i dlatego tak sądzę. No, to zapytajcie innych, jeśli mi nie wierzycie — bardzo proszę.

Dawniej, jeśli jakaś piękna i wystrojona dama, świetnym ekwipażem jechała przez Nowy-Świat, to każda żona męża lub córka ojca mogła śmiało zapytać, kto to taki? Dziś przechodząca córka musi oczy spuścić, bo mamy lub papy nie śmie o to zapytać, i udawać musi, że nie widzi.

Jeśli jaki elegant dziś się pokaze w amerykanie, to napewno nie żaden pan ani panicz, ale kantorzysta, najętymi koźmi i najętym brekiem.

Co prawda, niemilosiernie świat mi się psuje, bo typów wybitnych



Hr. Męciński.

niéma wcale. Za moich lat młodych, proszę sobie przypomnieć, (zwracam się do tych, co przeszli pięćdziesiątkę) — co to za oryginalne postacie można było spotykać! Taki np. hrabia Męciński, trochę karykatura, ale co za typ! Dalej Kurnatowski, pełen wymuszonych elegancji staruszek, niezmiernie ugrzeczniony. Nosilem jeszcze mundurek Szkoły Sztuk Pięknych, gdy nieraz, idąc w kilku z tekami pod pachą, ujrzelśmy kroczącego ku nam Kurnatowskiego, usuwaliśmy mu się na bok, by doświadczyć jego grzeczności, a on natychmiast zdejmował kapelusz i głośno mówił: „Dziękuję panom“. — Dziś nikt nikomu nie dziękuje, ale prawdą też, że nikt z młokosów z drogi nie ustąpi starszemu.



Kurnatowski.

Szambelan Skibicki był także nadzwyczaj charakterystycznym dygnitarzem; senator Badeni; hrabia Nesselrode; później Henryk hr. Rzewuski, autor „Listopada“. Wszystko ludzie starsi, ale z jakim wyglądem! Taki na przykład Steinkeler na balu, w rozmowie z Salwianem Jakubowskim, co za typy! Nareszcie jeden z późniejszych, b. wojskowy polski, Laski, figura oryginalna, czupurna mina, ubrany krótko a zawadyacko. Dalej szereg hulaków, jak: Radziwiłłowie, Pusłowski Wiktor, awanturnik Dowbór i tylu innych. Teraz widocznie takich ludzi brakuje, a przynajmniej ich nie widać; niema z kogo zbierać wzorów.

Jednym z ostatnich sympatycznych typów, ale już później-



Szambelan Skibicki.

szych, był hrabia Maurycy Potocki, typ pana i szlachcica, zawsze grzeczny, miły, nigdy o nikim źle nie mówiący. Wesóły, uśmiechnięty, dowcipny, lubił troszkę bibki. W swoim czasie chodziła o nim anegdota, że gdy pewnego razu któryś z bankierów pozwolił sobie nazwać go przy kieliszku

bibułą, odrzekł natychmiast: „Odsuń się pan, bo wsiąkniesz“. — Wiadomo bowiem, że kleks, zrobiony atramentem na papierze, żydem nazywany, w bibułę wsiąka.

Oj, te bibki! wiele to ja ich widziałem, i jakże niektóre wesołe! Już to przyznać trzeba, że chyba nikt z moich znajomych nie był tak na bibki wciągany, jak ja; dzięki dobremu zawsze humorowi, nie obyło się nigdy bezemnie tam, gdzie się bawić chciało.

Za kawalerskich moich czasów był bardzo przyjemny i piękny człowiek, Edward Koelichen, który, prócz znacznego majątku, posiadał także bardzo głośny handel win na rogu Długiéj i Przejazd. Otóż u niego bywały Piątki, gdzie dawano kolacye bardzo sute. Ba-



Hr. Rzewuski.

wiono się muzyką; grywali: Lubowski Józef, Dobrzyński, śpiewał nieporównany Dobrski, dwóch Zachorowskich, Komorowski, twórca „Kaliny“, i mnóstwo innych, których już zapomniałem; naturalnie, i ja wygwizdywałem. Po kolacji sprzątano stoły i układano albo szarady z żywych osób, albo żywe obrazy, naturalnie treści bardzo wesołej, ale niecenzuralnej. Tańce naprzykład Hotentotów, lub marsze ludzi obdartych z garderoby przez dzikich; przypadki Robinsona, rozumie się wszystko w karykaturze. Otóż te Piątki takie ogromne powodzenie miały, że w końcu musiał gospodarz zamknąć swoje gościnne a wesołe progi.

Jednym z naczelných przewodników tych uczt bywał ś. p. Bona-



Steinkeler.

Jakubowski.

wentura Chrząński, urzędnik Banku Polskiego, nadzwyczaj wesołego usposobienia.

Gdy wieść o tych zabawach rozeszła się po Warszawie, jakto zwykle bywa, zaczęli ludziska przesadzać i w końcu niestworzone rzeczy opowiadać, co wywołało nawet pewne zgorszenie w salonach.

Razu pewnego będąc zapytany przez jedną z ówczesnych matron, czy to prawda, że u pana Edwarda takie okropności i nieprzyzwoitości się dzieją, odrzekłem:

— Proszę pani, ludzie przesadzają, bo niech pani przyzna, czy biały krawat jest nieprzyzwoity?

— A nie, przeciwnie!

— A frak?

— No nie.

— Otóż właśnie na ostatniem zebraniu odbywał się taniec, literalnie tylko we frakach i białych krawatach. A widzi pani.

Albo jeszcze dużo przedtém, syn Marcina Zalewskiego, naszego profesora perspektywy i kolega mój, Konrad, dosyć zdolny, ale hulaka straszliwy, zaprosił nas kilku-nastu na imieniny. Imieniny studenta! więc moc ratafii i krupniku; krupnik składał się z okowity, miodu, słoniny i pomarańcz, a co, co za kombinacya!

Potrawy zaś stanowiły pieczone naturalne koty, z których skórki ze łbami, zawieszono na ścianach. Ponieważ o talerze było trudno, więc w braku takowych poszarpane pieczywo, podawano w mundurowych czapkach!

Ręczę słowem, że świętą piszę prawdę.

Dziś jako stary smakosz, aż się na to wspomnienie otrząsam. Wówczas, naturalnie więcej przez swawolę, niż z musu takie ucztę urządzaliśmy czasem.

Gitara z gwizdaniem albo harmonijka, zastępowała orkiestrę. Ponieważ byłem przez kolegów mianowany orkiestronem, a moja harmonijka już się była przedęła, więc koledzy zrobiwszy między sobą składkę, zafundowali mi piękną i dużą, nową harmonię, która też bywała zawsze zabierana na ekskursję, to jest wtenczas, gdyśmy z poczciwym i kochanym Piwarskim za roгатki na całe dnie wybierali się na studia.

Zabawny był widok, gdy nas

kilkunastu siadywało po łąkach około drzew, naprzykład w Tar-chominie.

Takich olbrzymich i malowniczych topoli nadwiślańskich nigdzie na świecie nie ma, jeszcze ich trochę stoi w Jabłonie, a tak olbrzymie, że w kilkunastu zaledwie można te stare pnie otoczyć.

Pamiętam niedawno jeszcze, jakiś przejeżdżający Anglik, wielki wojażer, mówił (co naturalnie mi przetłómaczono), że gdyby Anglicy wiedzieli o egzystencji takich olbrzymów, toby umyślnie po to jedno tu przyjeżdżali.

Tu muszę wypowiedzieć moje zdziwienie, dlaczego u nas przy tylu rozmaitych kierunkach w malarstwie, tak mało jest pejzaży-stów?! Przecież nasze sosny,

wierzby, topole, dęby i tyle innych drzew, stanowią tak cudowne wzo-
ry! Byłem przecież trochę w Niem-
czech i Francyi, a przeważnie spo-
tykałem lasy, wprawdzie bardzo
porządnie utrzymane, ale bardzo
ubogie.

Poznałem trochę i Księstwo Po-
znańskie, odwoziłem bowiem do
Poznania około 1872 roku starszą
moją córkę, mającą wówczas oko-
ło dwunastu lat, by umieścić ją
na pensyi *Sacré coeur*.

Przełożoną téj pensyi była wów-
czas panna Chłapowska, osoba
wielkiego wykształcenia i niezmier-
nego uroku, bardzo dystygowana
i uprzejma.

Zwiedzając Poznań, spotkałem
na ulicy Wiktora Barańskiego, por-
trecistę pastelowego, wołyniaka

i viveura, bardzo dowcipnego, za-
tém bardzo miłego hulakę.

Przywitawszy się serdecznie, po-
wiedział mi, że przyjechał do Po-
znania, gdzie teatr krakowski chwi-
lowo bawił. Zastałem więc i Ko-
źmiana, ówczesnego dyrektora tea-
tru, człowieka miłego, bardzo
wykształconego i interesującego.
Z téj okazji urządzono weso-
łą kolacyjkę z panną Urbanowi-
czówną; poznałem wtenczas także
przepysznęj urody pannę Będów-
nę, późniejszą Ładnowską. I tak
zeszło mi w Poznaniu parę dni
przyjemnie i wesoło.

Muszę tu opowiedzieć parę ane-
gdotek z życia Barańskiego, by dać
próbkę jego dowcipu. A trzeba mu
przyznać, że miał toupet ogromny.
I tak naprzykład:

W klubie myśliwskim, (tój warszawskiej izbie panów od Bakara i Winta) pewnego razu, dość groźnie odzywa się jeden z paniczów do Barańskiego: — Podobno pan powiedział o mnie, że śmierdzę?

— Nieprzypominam sobie tego, ale czuję, że to prawda.

Na to rozgniewany panicz rzuca mu bilet i wyzywa na pojedynek. Barański z najzimniejszą krwią odrzekł:

— Z przyjemnością, ale dla pana to żaden interes, bo jeśli pan mnie zabijesz, to swoją drogą będziesz pan dalej śmierdział. No, a jeśli ja pana zabiję, to pan jeszcze gorzej śmierdzić będziesz.

Dowcip ten wywołał mimowolny śmiech obecnych, i skończyło się zgodą przy kieliszku.

Pytam się Barańskiego o Poznańczyków:

— Ot zachciałeś, są rozmaici, ale i fujarów nie brak. Imaginuj sobie, jeden z okolicznych obywateli, zaprasza mnie na kilka dni na wieś. — Cóż ja tam będę robił? — No, popolujesz trochę, wypoczniiesz sobie, i zrobisz mi wielką przyjemność swoją osobą.

— Ha, myślę sobie, to i pojedę. Więc po dobrém śniadanku w hotelu Kornatowskiego, wyjeżdżamy ładnym Wicusia (Wincenty mu było) ekwipażykiem. Ponieważ droga, wyjątkowo w Poznańskim, była nieco ciężka, zrobiło się trochę nudno, więc ja do niego: — Patrzaj, serce, przypadkiem znalazłem karty w kieszeni. Ot, wiesz co, zagrajmy sobie w bacz-

ka. Wicusz lubił karteczki, więc zrobiła się partyjka.

W pół godziny, wyobraź sobie, kochany Franku, wygrałem od niego wszystkie pieniądze. Rozindyczony, proponuje grać na konie i powóz, wygrałem i to. Aż on zaczyna klnąć i rozbijać się. Pasya mnie porwała, krzyknąłem na furmana:—Stój—a ponieważ rozbijał się i kłął dalej, wyprosiłem go z mego już powozu, i puściłem trutnia piechotą, a sam kazałem zawrócić napoewrót do miasta, gdzie powróciwszy, natychmiast sprzedałem konie i powóz, bo mi już były niepotrzebne.

Na drugi dzień spotkałem księcia Sulkowskiego, który przypomniawszy mi dane słowo, że do



Rydzyny wstąpię, już mnie nie puścił i do domu zabrał.

Dojeżdżając do Rydzyny, już zdaleka doznaje się wielkiego wrażenia.

Ogromny starożytny zamek kilkopiętrowy, zbudowany w kwadrat, ze zwodzonym mostem, otoczony głębokim, na około rowem napelnionym wodą. Zawiera w sobie paręset komnat, teatr, sale balowe, pokoje gościnne i przepyszny park. Na wieży powiewa wielka chorągiew z książęcym herbem, u bramy wjazdowej dwie strażnice, w których, gdy wjeżdżałem, wesoło świergotały wróble.

Zastałem wielki zjazd gości. Odbywały się zrzęczyny najstarszego syna księcia, Józefa Sulkowskiego, Antoniego, który świeżo powrócił

z kampanii Francuzko-Niemieckiej, z panną Alkantara, hiszpanką.

Przez dwa tygodnie trwały uczty. Do stołu zasiadało osób z 80, panie w wielkich toaletach, panowie po balowemu. W czasie obiadu, codzień w parku przygrywała wojskowa kapela, po obiedzie w sali balowej rozpoczynały się tańce.

Te dwa tygodnie, to nieustająca uczta, stoły zastawione przepyszными porcelanami i kryształami, po królewsku wyglądały.

W Rydzynie utrzymuje się legenda o białej damie, która jakoby z portretu wychodziła i o północy w parku się przechadzała.

Naturalnie, że o tej legendzie nie zapomnieliśmy. Gdy podczas pięknej księżycowej nocy, po tań-

cach, pewne grono osób spacerowało po parku, z gęstego klombu raptem, wysoka biała postać wysunęła się wprost ku nam.

Zdrętwieliśmy ze wzruszenia. Panie niektóre już chciały mdleć, gdy wtém głośnie: „a pudziesz“ zabrzmiało wśród ciszy. I postać w długiej powłóczystej szacie, zmieniła się raptem w białego także dryblasa, ale w grubym negliżu i o długich nogach. Byłto, jak się wydało, hrabia Jan Zamoy-ski (później żonaty z panną Pelisier, córką marszałka Francyi) sławnie gwizdzący, ztąd mój wielki przyjaciel. On to, chcąc całe grono spacerowiczów nastraszyć, gdy był już w łóżku zmęczony tańcem, wylazł przez okno, okrywszy się naprędce prześcieradłem, i gdyby



nie jakiś pies, byłby nam strachu napędził.

W kilka dni potem brałem udział w polowaniu na rogacze, których ma być dużo w lasach Rydzyskich.

Pojechało nas trzech: hr. Adam Krasiński, syn młodszy księcia Sułkowskiego Józef, dziś już nieboszczyk i ja.

Gdyśmy z powozu pod gęstym lasem, ale dość jeszcze młodym, wysiedli, udaliśmy się w największej cichości do gąszczu i poczekawszy chwilę, zaczęliśmy dziwne polowanie.

Hrabia Adam Krasiński, kazał nam przygotować strzelby, kilka razy na maleńkiej piszczalce zakwilil.

W parę sekund usłyszeliśmy lo-

mot gałązek i ujrzelśmy na kilka kroków dwóch rogaczy. Któryś z nas wystrzelił, ale chybił, choć były bardzo blisko, po chwili, pojechaliśmy w inne miejsce, i powtarzając w ten sam sposób naszą zasadzkę, przywieźliśmy do zamku kilka sztuk zwierzyny.

Akwarelkę, przedstawiającą ten epizodzik, zostawiłem na miejscu. Ufietowany i ubawiony, pożegnałem gościnne, prawdziwie magnackie progi.

Mając zaproszenie, pojechałem do Turwi, majątku jenerała Chłapowskiego.

Tu zastałem również piękny, choć nie tak wielki pałac, z którego kurytarz wprost do kościoła prowadził. Park dziwnie piękny,

poważny, świetny bardzo miał wygląd.

Poznałem tu dwa typy, które żywo mam w pamięci. Byli to dwaj starcy, oryginalne i szanowne postacie.

Jenerał Chłapowski, starzec siwiuteńki z białą hiszpanką, istny typ marszałka Francji.

Głuchy i poważny, pamiętał wszystko co się działo za Napoleona pierwszego; z błyszczącym zapalem w oku, opowiadał niezliczone przygody, tak świeżo i tak szczególnie, jakby to było wczoraj.

Wszystko późniejsze było mu obojętne i albo milczał o dzisiejszym świecie, albo przyznawał się, że teraźniejszego świata nie a nie rozumie.

Drugim mieszkańcem Turwi był



Chłapowski.

Gutakowski, ubrany podług mody z czasów Księstwa Warszawskiego. Obaj ci starcy na tle poważnego i nieco ponurego pałacu, wyglądali jak z przeszłego wieku przywołane duchy.

Gutakowski z zębami i ufryzowany staruszek, biegał po pokoju jak kuropatwa, lat już dwadzieścia nie wychodził na powietrze, utrzymując, że oddychać dzisiejszym powietrzem nie może, i nie warto! Z nieodstępną tabakierką w ręku, niezmiernie ugrzeczniony, aż do przesady uprzejmy, pokazywał mi mnóstwo starych miniatur, i o każdej z nich długą opowiadał historią.

Zabawiwszy dni parę w Turwi, pożegnałem szanownych starców i pojechałem do Karczyna, wła-



Gutakowski.

sności Augusta Kościelskiego, ojca znanego poety i posła, Józefa Kościelskiego. Pan August, postać bardzo znana, był także typem jakich dziś już nie spotykamy. Zamieszkiwał prześliczną rezydencją, był słynnie gościnnym gospodarzem i pobyt u niego jest najmilszym mem wspomnieniem. Już nieco dawniejszy znajomy mój, przyjaciel i protektor, bardzo mnie kochał i nie na platonicznej tylko przyjaźni poprzestawał. Bardzo wiele mi moich mniejszych akwarelli sprzedawał. Jeżdżąc corocznie na jarmark kijowski, zabierał ze sobą po kilkanaście sztuk małych obrazków lub szkiców i zawsze sprzedawał wszystkie po cenie dwa razy wyższej, niż ja oznaczyłem. Sam często także



nabywał moje roboty. Był to człowiek o gorącym sercu, kochał sztukę naprawdę.

Ileż to przepysznych wieczorów u niego się przepędziło! Wszyscy najznakomitsi, ale zawsze tylko polscy artyści, muzykę u niego urządzali. Najczęściej Zarzycki lub Żeleński.

W lat kilkanaście, kiedy już na łożu ciężko chory leżał, siadywałem u niego po całych dniach i nocach,—mimo cierpień był zawsze wesoły i dowcipny. Wielka mi szkoda go, bo to był prawdziwy mój przyjaciel.

Kiedym tedy bawiąc w Karczynie, po kilku tygodniach wyjeżdżał, po drodze musiałem wstąpić i do Lubostronia, którego dziedziecem jest hr. Leon Skórzewski. Tu

wpadłem w koteryą młodych jeszcze paniczyków, ale hulaków nie małych. W Lubostroniu mieszkała matka p. Leona, bawił tam też wówczas zasłużony, światły i ceniony ksiądz Polkowski, ale w Łabiszynie, który możnaby było na ówczas Łobuzinem nazwać, była gromadka takiej przedsiębiorczej młodzieży, jak Józef Kościelski, dwóch hrabiów Czapskich, dwóch braci książąt Sulkowskich, hrabia Bniński (Bobem w całym poznańskim zwany), Barański wyżej wzmiankowany i wielu innych.

Dom obszerny niby skromny, ale kuchnia i piwnica koncertowe! Śniadanie spożywało się o pierwszej, a obiad o dziewiątej godzinie. Swoboda szeroka i humor ananasy. Więc bilard, gawęda, rybo-

łówstwo, polowania i spacer, konie, jedném słowem, życie niebiańskie.

Był dzień prześliczny: staliśmy na moście patrząc na parę osób, które z wędkami zasiedli nad brzegiem rzeki. Postawszy trochę dłużej, mówię do Barańskiego: wiesz ty co, że ci, co tam niby to ryby łapia, to mają strasznie głupią minę.

— A ja ci powiem, że ci, co się im przypatrują, mają daleko jeszcze głupszą.

Miałem poleczone, bym najlepszą z anegdotek wczoraj opowiedzianych, namalował akwarellą i takową do śniadania codziennie przynosił. Zostało więc po moim wyjeździe sztuk kilkanaście przez te parę tygodni namalowanych. Wszystkie

bardzo niecenzuralne i w kawalerskim stylu trzymane.

Sowicie zapłacony i ufetowany, powróciłem nareszcie do mojej Warszawy, do której zawsze wracam całym sercem. Oto wspomnienia z wycieczki w Poznańskie.

Poznałem także i Wołyń trochę. Zawiózł mnie tam kochany Gucio Potocki, wielki zawsze mój przyjaciel. Wycieczkę tę na Wołyń odbył lat temu kilkanaście, zaliczam także do bardzo przyjemnych wspomnień.

Wybraliśmy się do Zachajec, pysznej (dziś zrujnowanej) pańskiej rezydencji po marszałku Bobrze, ojcu pani hrabiny Maurykowej Potockiej. Był to ogromny

murowany budynek o bardzo wielu pokojach, t \acute{e} m si \acute{e} odznaczaj \acute{a} cy, \acute{z} e na oko \acute{l} o ca \acute{l} ego domu szeroki z balustrad \acute{a} żelazn \acute{a} kamienny ganek, m \acute{o} g \acute{l} służyć wrazie niepogody za d \acute{l} ugi spacer.

Kochany Gucio, \acute{z} eby mi dać poznać lud tamtejszy, urządził bal dla chłopów, a niedobitki orkiestry kiedyś wielki \acute{e} j za jego dziada, stanowiły kapele. Widzia \acute{l} em trepaka, rodzaj dreptanego tańca, który tam jest mi \acute{e} dzzy ludem tak rozpowszechniony. Mi \acute{e} dzzy chłopami du $\acute{z$ o jest rosłych i bardzo przy stojnych m \acute{e} zczyzn, a mi \acute{e} dzzy m \acute{o} lodycami trafiają si \acute{e} i bardzo pi \acute{e} kne.

Niezapomnę nigdy przecudnej Petryczanki, wysoka z małą gł \acute{o} wką o niebieskich cudownych



oczach i rysach klasycznie pięknych, była prawie zdumiewającą.

Co dziwne, że do tańca najwięcej zapalone widziałem stare baby, które niezmordowane, ani chwili nie odpoczywały!

Ufetowane suto chłopstwo, tańcowało do rana.

Okolice tam bardzo piękne, znane z licznych opisów, wszakże nieco monotonne; ziemie urodzajne lekko wzgórzyste, a w jarach, czyli rozdolach ogromne wsie zamożnie wyglądające.

Z Zachajec, Potocki August zawiózł mnie do Sławuty. Podróż tę odbywaliśmy nocą, zwyczajem tamtejszym, czwórką w poprzek, drogi bowiem szerokie na taką jazdę pozwalają.

Przed nami na kroków kilkanaście na koniu jechał kozak z kagańcem, dla oświetlania drogi. Noc była cudowna, wjechaliśmy na stepy. Tu pierwszy raz poznałem lepiej Gucia.

Sławuta, znana i opisywana pewnie nieraz, zaimponowała mi ogromnie.

Stary książę Roman Sanguszko, typ wielkiego a zacnego pana, był postacią wyjątkową.

Olbrzymiej fortuny pan nie zamieszkiwał wielkiego pałacu po magnacku urządzonego, ale mieszkał w tak zwanym „dworku“, a sypiał w pokoju nad stajniami. Przebywszy długi czas na Kaukazie, ogłuchł zupełnie. Nosił się bardzo skromnie, sypiał na ubogim łożku żelaznym. Kochał w końcu życia

tylko konie, i sławną na cały świat stadninę z wielkim komfortem utrzymywał. Służba cała równie jak sam książę, ubrana w skromne kurty szare, w długich butach, miała typowy zupełnie wygląd.

Przy obiedzie, codziennie ostatni teorbanista „Widort“, akompaniując sobie na teorbanie, śpiewał pieśni o hetmanie Rzewuskim, w sposób tak dziwnie rozrzewniający, że bez łez słuchać go było nie podobna.

Pobyt kilkudniowy w Sławucie, głębokie zostawił na wszystkich wrażenie.

Takiego wielkiego pana, z taką prostotą i godnością zarazem, pewno drugiego nie znaleźć!

I znowu zapominam o obowiązku bawienia czytelnika! najmocniej



Ks. R. Sanguszko.

przepraszam! Zapominam, że koniecznie mam być śmiesznym.

Wracajmy do głupstw.

Więc trochę spowiedzi, choćby i z momentów życia nie najfortunniejszych, nie zawadzi. W popularnych kawalerskich często gęsto przebrało się miarę; wszyscy młodzi, a témbardziej artyści, są wrażliwi i niespokojnego temperamentu; o ile pamiętam, rzadko się sensat między nami trafiał.

Przedewszystkiém téż wesolo i filozoficznie się życie brało. Razu jednego, stróż domu, poczciwy Walenty, stawiając wyczyszczone buty obok sofy, na której wyciągałem się jeszcze, choć było już około 11-ój zrana, powiada:

— Ale téż pan wycalował mnie wczoraj, jakem bramę otworzył! No, jeszcze mnie tak nikt nie wyściskał. Musiał pan chyba na loteryi wygrać?

— Nie, mój kochany; dopiero mam zamiar wygrać, ale to chyba w przyszłym ciągnięciu i jeśli potrafię kupić na nią bilet.

— No, no, to dziwna rzecz!

Otóż muszę się państwu wytłómaczyć.

Byłem trochę urznięty, a Walentego, który także za kołnierz nie wylewał, wziąłem za jego żonę. To złudzenie optyczne wywołane zostało tém, iż Walenty, którego głowa wtedy bolała, związał ją sobie chustką zonią; a okryty kozuchem i skurczony z zimna, w półcieniu bramy, oświetlonój dogasającym



kagankiem, doskonale mógł ucho-
dzić za samą Walentową—a Wa-
lentową znałem, bo mi kołnierzy-
ki i mankiety na niebiesko prała.

A co to przygódek rozmaitych
w salonach! Ba, dziś będąc sta-
rym, nie mogę się dość nazalować
mojej przesadzonej nieśmiałości.
I tak: odprowadzając pewną blon-
dyneczkę z babcią, z jakiejś tań-
cującej herbatki, nie śmiałem
figlarce pocałować w samego
dziobka, którego wyraźnie do mnie
wysuwała na parterze; dopiero
stanąwszy na drugiem piętrze,
gdzie było ciemno, zdecydowałem
się na całuska; lecz w téj chwili
bestyjka schowała się za bab-
kę, czegom nie zauważył, i, za-
miast wycisnąć całusa na rumia-
nej buzi, ucałowałem babkę, któ-
ra namiętnie tabakę zażywała,
a której moc zmusiła mnie do gło-
śnego kichnięcia. No, potem, co
prawda, za ten figiel kazałem so-

bie zapłacić gotówką, to jest prawdziwym dziobkiem mój przyjaciółeczki.

Przytrafiały się też i sensacyjne sceny.

Wyglądając raz oknem, spostrzegłem na podwórzu drwali, rąbiących drzewo. Jeden z nich, z widocznie żołnierską twarzą, (a w owe czasy dużo się takich spotykało), bardzo mi się spodobał. Schodzę więc na podwórze i następuje rozmowa:

— Ile też, mój przyjacielu, zarabiacie dziennie?

— Phi! czasem cztery złote, czasem i pięć... różnie, panie.

— Słuchajcie: dostaniecie rubla i nic robić nie będziecie, tylko posiedzieć mi parę godzin, nie ruszając się.



— E! proszę pana, nie chcę.

— Dlaczego?

— Bo to musi być coś złego, żeby nic nie robiąc, rubla zarobić.

Nie mogłem mu wytłumaczyć, że ma mi służyć za model. On jednakże po swojemu tak pojmował zarobek.

Okolo r. 1858 zacząłem piérwszy prawie w kraju wykonywać ilustracye na większą skalę. Piérwsze moje, do dziś dnia cenione dosyć, „Szkice i obrazki“, były pisane przez Wacława Szymanowskiego, przezemnie rysowane na litograficznym kamieniu, a wydawane przez Józefa Ungra. Następnie Gregorowicz i Lewestam wydawali głośnie „Wolne żarty“; były to piérwsze moje próby humorystyczne. Z resztek rękopismów wydaliśmy jeszcze „Szpargały“. Później urodził się „Tygodnik Ilustrowany“, do którego od samego początku wszedłem i do dziś dnia, od czasu do czasu pomieszczam szkice; zresztą o tych rzeczach tyle już drukowano, że mówić mi się samemu nie chce.

Obrazów i obrazków tysiące namalowałem; o ile zatem z jednej strony obfitość ta na pochwałę zasługuje, o tyle z drugiej na wykończeniu szwankuje.

Tu muszę moje wyznanie wiary co do sztuki zanotować. Kocham sztukę i za nic w świecie nie chciałbym być kim innym, jak malarzem. Widząc naokoło takie mnóstwo artystów, a sam nigdy na mistrza nie pozując, przyznaję się, że całe to moje malarstwo jakoś z amatorska trochę traktuję. Temperament, niepoprawnie żywy, nie dałby mi długo nad jedną robotą ślęczyć; najudatniejsze moje roboty są te, które łatwo, a więc prędko wykonywam. Ile razy staranności dokładałem, zawsze nie tęgo na tém wychodziłem. Obrazy też

moje nie mogły-by wytrzymać surowszej krytyki. Najlepszych zaś urywków publiczność nie widzi, bo te są albo trochę dekolowane, jak np. „Album Karola Lilpopa“, albo okolicznościowe i dorywcze prace.

Na wystawie moich obrazów w r. 1889, u Krywulta, zgadnijcie, co się najlepiej podobało? — Oto „Album przysłowiów Dobieckiego“, które w parę dni, na wsi bawiąc, wykonałem!

U nas znawstwo sztuki malarskiej dwóch tylko rzeczy wymaga, a temi są: portrety podobne czy niepodobne, i karykatury zabawne lub niezabawne; inne rodzaje są zupełnie obojętne. Czasem jednak wyjątek stanowi jakaś goła kobieta przed kąpielą, w kąpielu, albo po kąpielu...

Nie wiem, czy którykolwiek zawód tak rozmaite wytwarza stosunki między ludźmi, jak zawód artysty-malarza, szczególnie popularnego ilustratora w stylu humorystycznym i przez lat tak wiele kolatającego się po świecie.

Naturalnie, że potrzebując chleba, najwięcej musiałem przebywać z ludźmi, posiadającymi pieniądze. Zdaje mi się, że prawie wszystkich bogatszych ludzi w kraju znałem osobiście.

Kulminacyjnym punktem towarzystwa warszawskiego był dom hrabiego Maurycego Potockiego. Był to pan w całym znaczeniu tego słowa: niesłychanie miły, w obejściu gościnnie i zawsze dobrego humoru. Syn jego, August, Guciem zwany przez całą Warszawę,

dużo go przypomina, choć nie tyle słodki, ile był ojciec.

W tym-to domu, gdzie długi szereg lat przebywałem, poznałem całą arystokrację krajową, dziś już prawie wymarłą.

Cóż to były za świetne czasy! Jakie bale! dziś wszystko to znikło bezpowrotnie.

Kilka z nich, jako uczestnik, pamiętam. Naprzykład dwa bale we Frascati, jeden dany przez Konstantego, drugi przez Władysława Branickich. Najświetniejsze towarzystwo, pań pięknych moc niezliczona. Gospodyni domu, hrabina Konstantowa Branicka (z domu Potocka), typ gruziński, o profilu pięknym i kruczych splotach; dalej sławna w owe czasy, cudnej urody pani Świejkowska, lub sio-

stra, pani Przeddziecka, pani Iza Tyszkiewicz i tyle innych.

Orkiestrą dyrygował trębacz Rajczak, bardzo podówczas znany kapelmistrz. W czasie mazura, od czasu do czasu wtrącał jakąś znaną pobudkę, a hr. Kazimierz Łubieński, były Krakus z 30 roku, poznał odrazu w nim trębacza ze swego szwadronu.

Bale owe, oprócz świetności i przepychu, niezmiernie wesołe, trwały zwykle do godziny 12-jej w południe!

O wiele już później odbył się także jeden z najświetniejszych bałów u syna hr. Kazimierza Łubieńskiego, Franciszka, w domu niegdyś Kurtza. Przy wejściu, na każdym schodzie stało po dwóch lokai, w nowiuteńkiej *ad*

hoc liberyi, w aksamitnych amarantowych spodniach, białych pończochach, szafirowych frakach złotem szamerowanych i białych perukach. Kolacya odbywała się na dole, w półokrągłej sali, której ściany przybrane były w białe kamelie. O godzinie 9-jej rano śniadanie z ostrygami. Osób było 300, bal trwał do południa.

W tym samym lokalu, w parę lat później, był znów bal kostiumowy, wydany przez Józefa hrabiego Krasińskiego, gdzie cudowna ogrodniczka *à la Watteau*, pani ordynatowa Zamoyska, królowała w całym znaczeniu tego słowa. Kontredans w kostiumach muszkieterskich był najciekawszym na tym balu.

W kilka lat potem był także bal u ordynatów Zamoyskich, na osób

400, gdzie między najbogatszymi kostiumami i ja się odznaczyłem; nie bogactwem jednak, ale oryginalnością kostiumu: byłem bowiem przebrany za... kucharza. Cały biało ubrany, w czapce kucharskiej, z łyżką drewnianą za fartuchem, wzbudzałem dobry humor, a okazałością wypukłego żywota przedstawiałem typ wypasionego kucharza.

Późniejsze bale kostiumowe, na przykład u hrabiny Raczyńskiej, były liczne i okazałe, ale już nie tak świetne.

Były to ostatnie podrygi świetności i wesołości, której dziś od lat kilku ani śladu! Wszystko to już prawie pomarło, a pałace w Warszawie stoją pustkami.



Znaną mi téż trochę jest także i Żmudź. Bawiłem bowiem parę miesięcy u pani marszałkowej Burbiny w Belwederze.

Nad samym Niemnem, na wysokości górze zbudowany, stoi okazały pałac, otoczony pięknym parkiem, który imponuje okolicy.

Życie było tam pańskie, choć już trafiłem na ostatki dobrobytu; gościnnie wszakże podejmowany z moją ukochaną Maniusią, bardzo miłe wywozłem ztamtąd wrażenie.

Z sąsiadów tamtejszych poznałem marszałka Pusłowskiego, który także wystąpił z balem.

Bale jednak nad Niemnem nie udawały się z powodu nader małego zjazdu, i choć przygotowywane były na 100 osób, zdarzało się, że ledwie dwadzieścia przyjeżdżało.

Nic to jednak nie przeszkadzało ani tanom, ani sprowadzonym pułkowym orkiestrom, które grały zapamiętałe do białego dnia.

Z kawalerskich znowu festynów pamiętam obiad, wyprawiony w Kutnie przez Witolda Mniewskiego. Tu zaproszono nas osób 30, ale gościnnie gospodarz, znany w swoim czasie hulaka, przeholował traktament, bo po zupie, od razu, od wasana do wasana starożytnym puharem zdrowie wniesiono, i przy rybie już nikogo przy stole nie było. Wszyscy dobrze podchmieleni, do parku się wynieśli, a mnie znaleziono w rowie, gdzie, spragniony wody, straciwszy równowagę, na dół się stoczyłem, a kontent, że mi nikt nie przeszkadza, uciałem sobie drzémkę.

Biedni, dziś nieboszczycy, doktor Pawlikowski i obywatel Skrutkowski nareszcie mnie odszukali, a sądząc, że mnie tknięty apopleksją, już nie żyję, machnęli rękoma i zostawili mnie w rowie; za co niech im ziemia lekką będzie, bom się wyśpał kapitalnie.

Opisując różne moje wycieczki, nie mogę zamilcząć i o Hrubieszowskiej ziemi.

Tam także przepędziłem któreś lato w zamożnym domu Władysława Horodyńskiego, jednego z najbogatszych obywateli w kraju.

Bawił tu ze mną nieocenionego humoru Kazimierz Dobiecki, wielki mój i serdeczny przyjaciel. Urządzaliśmy więc różne fetki, i raz o mały figiel, że nie sprowadzili.

śmy ogniowej katastrofy. Puszczaliśmy duży balon, który, osiadłszy na słomianym dachu, na stodole,— z tylko-co zapalonym spirytusem, ledwie nie wywołał pożaru. Trzeba było widzieć, jakie głupie zrobiliśmy miny z przestachu.

Niewiem dlaczego, ale najmiléj mi przebywać w lecie w granicach Królestwa; ani Karpaty, ani zabużne kraje jakoś nie ciągną mnie. Ot, lat temu trzy (a piszę te słowa w r. 1891), bawiłem kilka tygodni w Rudzie Malenieckiej, w okolicach miasta Końskie, w dość liczniém gronie, u niezwykle miłych i dowcipnych państwa Konstantostwa Komierowskich. Boże mój! czemu to tak rzadko spotyka się



ludzi z dobrym humorem! Długo o tém gadać trzeba, a ponieważ z góry od poważnych i smutnych myśli uciekać postanowiłem, więc wracajmy do wesolych.

Ukochany Kocio powszechnie lubiany człowiek, chcąc mnie uświetnić, postanowił jeden dzień ku czci mojej poświęcić. Skomponował więc jubileusz. Od samego tedy rana, pod drzwiami mego pokoju, kiedym jeszcze najsmaczniej zasypiał, sprowadzone z Końskich żydki urzwały odrazu marsza. Więc basetła, skrzypki i klarynety w towarzystwie bębna zagrzmiały odrazu tak głośno, że się z łóżka zerwał na równe nogi. Schody prowadzące do mego pokoju znalazłem już przybrane w festony z liści, i wieńce na ścianach. Panie

w toaletach świetnych, naturalnie z humorystycznym odcieniem przybrane, z bukietami w rękach powitały mnie schodzącego z góry. Uroczysty nastrój zajaśniał w całej okazałości dopiero przy wystawnym obiedzie. Posadzony na pierwszym miejscu, ucieszony i ubawiony serdecznym, wesołym otoczeniem, zadziwiłem się bardzo, gdy zaraz po zupie, lokaj wniósł na tacy telegram pierwszy!

Prawdziwe telegramy, umyślnie z Warszawy wyprawiane, przychodziły co dziesięć minut, jeden po drugim. Oto ich treść:

Kraków, Matejko.

„Choć jestem znany i nieźle maluje,

„To przed Kostrzewskim wszakże salutuje“.

Warszawa, Bandkie (zięć).

„Wiwat dzielny artysta co tak pęzłem włada,
„I z Roźniecką pod pompą pierniczki zajada“.

Deotyma.

„Po niebotycznych idź wciąż życia szlakach,
„Po lez dolinie z geniuszem na czole,
„Pnij się w wyżyny po kwiatach i makach,
„Niech proza życia ciebie nie ukole“.

Manowska.

„Memu zacnemu przyjacielowi winszuję i ży-
czę pełna pamięci Manowska“.

Paris, Boulanger.

„A l'éminent peintre Polonais-salut!
Égalité, liberté“.

Warszawa, Rawiczowa Melania.

„Ty stary *Muniu*, nędzny balamucie,
„Na moją miłość, kiwasz palcem w bucie“.

Warszawa, Sznago Mania.

„Nie daj się Franiu tak brać na błagę
„Twoja, choć cudza, droga ci Sznago“.

Warszawa, Wrotnowski.

„Ilu artystów jest w Syrenim grodzie
„Krzyczą dziś wszyscy jak jeden mąż,
„A co dziwniejsza w największej zgodzie;
„Dzielna Kostrzewa niech żyje wciąż“.

i t. d. i t. d.

NB. Wszystkie te telegramy, umyślnie przez Józefa Komierowskiego wyprawiane z Warszawy, a ułożone przez Konstantego, zachowałem na pamiątkę.

Możecie sobie państwo wyobrazić, ile śmiechu przy wybornym stole i pysznych winach plodziły te co dziesięć minut przybywające telegramy! I jak tu się nieśmiać,

w otoczeniu zycliwych i kochanych osób.

Nie wiem doprawdy, czykolwiek tyle przyjemnych i swobodnych dni w swoim zyciu przepędził ile ja! i nie wiem, czy kto to tyle cenil, ile ja.

Mimo to, nieraz zasępia mi się czoło, gdy pomyślę o najukochańszych dzieciach i wnukach, czy które z nich będzie miało dni tak jasne jak ja! Sam nawet często boję się przyszłości, widząc tyle bolesnych zawodów i tyle trosk na około.

Staralem się wpoić w moje dzieci, trochę filozofii tego gatunku przedewszystkiem, żeby dzisiejsze swoje *ja* i swoje radości cenily, jako przypadkowe szczęśliwe momenta, które nam zycie zdobia.

Oby dni takich słonecznych jak najwięcej im przypadło!

Dzieci moje objawiały także artystyczne chętki od małego; widząc papę ciągle rysującego lub malującego, nabrały wielkiego zamiłowania do tej sztuki.

Syn, dzisiaj już dość ceniony, jako zdolny portrecista, przebywał lat kilka w Monachium.

Córka starsza, Bandkowa, objawiała wielki talent do śpiewu, i był czas, że myślał, że będzie artystką, lecz poszła za męża, a obdarzona dziś czworgiem pysznych dzieciaków, na tryle czasu nie ma.

Młodsza, jako Benjaminek, ukochana, posiada zadziwiające zdolności muzyczne. Będąc jeszcze młodziutką panienką, zaczęła uprawiać fortepian, i doszła do

dużej już wprawy, a przedewszystki^{em} gra j^{ej} była indywidualną i rozumną, co dawało mi nadzieję, iż zostanie kiedyś niepospolitą artystką.

Losy jednakże inaczej zrzędziły. Będąc na kuracyi w Nałęczowie poznała Konrada Wodzińskiego, tamże bawiącego, a zakochawszy się w nim, oddała mu swą drobną, ale pracowitą i zdolną rączkę. Dziś doprowadziwszy do doskonałości konną jazdę, uczy w Tatersalu wyborową sferę panien; nadzwyczajnie ceniona i kochana przez wszystkich.

Obok tego, nabrawszy zamiłowania do koni, maluje studia naturalnej wielkości, zdaniem znawców niepospolicie.

Obejrzawszy się na siebie, spostrzegam, że już przestąpił Rubikon, to jest sześćdziesiątkę, muszę jednak przyznać, że przeżył tę szmatę czasu, względnie powiedziałszy, bardzo szczęśliwie.

Zarzucać mi mogą — zamiłowanie do najlepszego towarzystwa, to jest arystokracji.

Otóż wciągnięty, przez dawanie lekcyi, jeszcze za młodych moich lat, do najpierwszych domów, mimo nawet woli, musiałem przywyknąć do tych sfer. Zresztą o ile mi się zdaje, ludzie prawie wszędzie i na każdym szczeblu społeczeństwa mają zalety i wady te same.

Naturalnie, że wyjątki są tu i tam, przyznać jednak muszę, że piękniejsza połowa ludzkości w sfe-

rach wyższych, ma wiele powabu i wdzięku.

Wiele prawdziwie wielkich dam spotykałem bardzo wykształconych i rozwiniętych; poczucie sztuk pięknych zdarza się nie rzadko między niemi. Bo i nareszcie trudno wymagać od pań ze sfer niższych, by zajmowały się lub uprawiały malarstwo, gdy tymczasem tamte w podróżach mianowicie, zwiedzając liczne zagraniczne galerye, gustu nabrać mogły.

Co do mężczyzn z téj sfery, mianowicie za moich lat młodszych, nie spotykałem ludzi z artystycznym wykształceniem. W owéj epoce, szlachta nie lubiła ani się tém zajmować, ani tém bardziej uczyć się, zastałem właśnie dogorywające resztki wielkich fortun,

z dziwném i zapamiętałem marnotrawstwem tracone. Gdzie mi się tylko zdarzyło być na wsi, u najzamożniejszych, zawsze to samo spotykałem: gościnność, uprzejmość i hulanki, ale o sztukach pięknych wyobrażenia ani śladu.

Dziś zapewne już trochę inaczej by być mogło, ale znowu ogólny jęk na biedę, zasłania nawet tych, coby mogli coś czasem kupić. Trafia się jednakże gdzieniegdzie obrazek, ale to dosyć rzadko.

Na mojej wystawie, która stosunkowo dobrze się powiodła, czytając nazwiska właścicieli obrazów, z małym wyjątkiem, można się było łatwo przekonać, że nabywcami są mieszczaństwo i świat finansowy. Dzięki wykształceniu, można się już spotkać z dziełami sztuki,

u prawników, doktorów, no naturalnie i u bankierów.

Zbytek w urządzaniu mieszkań, powinienby więcej na rozwój sztuki wpływać. Cóż kiedy przy nowoczesnym umeblowaniu więcej ludzie dbają o jedwabne obicia, aksamitne portyery, stare szmaty makatami zwane, niż o obrazy, wreszcie we wszystkich salonach i buduarach panuje umyślnie urządzana ciemność. Okna zasłonięte frankami, a nawet szyby niybyto koronkami pokryte. Obrazka olejnego nie widać, chyba jaką scenę na śniegu, prędkiej już akwarelka się znajdzie, i tę zawsze lepiej dojrzeć można.

Kiedym raz komuś zarzut z tego zaciemniania mieszkań robił, ten ktoś odrzekł:

— Mój kochany, moja pani w ciemności lepiej się wydaje, a to jest przecie najpierwsze w domu malowidło.



253084